

SUKces

PO POZNAŃSKU

MIEJSKI
MAGAZYN
LIFESTYLÓWY

6(13) / CZERWIEC 2019

ISSN 2545-0174

PROF. DR HAB. WIESŁAW HĘDZELEK

STOMATOLOGIA TO MOJE ŻYCIE



NIERUCHOMOŚCI
MAGICZNA DĄBRÓWKA

POZIOM WYŻEJ
MARIUSZ WIATROWSKI

SMACZNEGO
TOMASZ ZDRENKA

Amica
for living



Amica Baking  System™

Odkryj wyższy poziom pieczenia

Doskonałe efekty pieczenia? To możliwe również w Twojej kuchni! Nowy piekarnik z Amica BakingPro System™ to sposób na równomiernie dopieczone ciasta i soczyste mięsa. Wszystko dzięki precyzyjnej dystrybucji ciepła i stabilnej temperaturze podczas całego procesu pieczenia. W tym pojemnym 77-litrowym piekarniku bez problemu upieczesz indyka dla całej rodziny, a nawet zmieścisz ponad 100 muffinek jednocześnie! I nie tracisz czasu na czekanie: piekarnik rozgrzewa się w 3 minuty – to najlepszy wynik na rynku!



Idzie lato. Czuć to w powietrzu, w zapachu zroszonej trawy, w ludzkich spojrzeniach. Lubię lato, nawet wtedy, kiedy jest gorąco, chociaż wydaję więcej pieniędzy na kremy z filtrem. Lato jest magiczne. I wtedy jakby chciało się więcej. Może dlatego, że dłużej jest jasno, a pogoda jakoś tak wygania z biura i spotkania są bardziej owocne. A kiedy siedząc wieczorem nad Wartą, obserwuje się zachodzące słońce, a w tle słyszeć delikatną muzykę, to czego chcieć więcej? Może tego, żeby lato trwało cały rok? A może, żebyśmy byli dla siebie tacy jak latem – trochę wyluzowani, bardziej przyjemni, wypoczęci i z dystansem.

Życie, jak pory roku, wymaga od nas pewnych przeobrażeń. Jest jak teatr, który przydziela nam scenariusz. Każdy ma swoją rolę do odegrania. Czasem jest łatwiej, czasem trudniej, ale na piedestale wartości można zbudować coś trwałego. Coś, co pozwoli nie tylko liczyć plusy, ale wyciągać lekcje z minusów. Te role bywają nieadekwatne do miejsca, czasu i akcji. Najważniejsze to potrafić się w nich odnaleźć i odegrać je na 100 procent swoich możliwości. A jeśli trzeba

zmodyfikować scenariusz, bo przecież nie da się ciągle być rycerzem, to nie warto się poddawać. Za chwilę zmieni się dekoracja. Dlatego ważne jest to, by z roli nie zostały same słowa, a to co zrobimy – dawało innym radość. Na końcu, kiedy opadnie kurtyna, reżyser i tak nas rozliczy, pozwalając grać dalej lub usuwając ze sceny. A jeśli czujemy, że to nie nasz teatr to „Trzeba wiedzieć kiedy ze sceny zejść. Niepokonanym.” (Grzegorz Markowski)

Życzę Wam, aby na Waszej scenie nigdy nie zabrakło prawdziwych aktorów. Sztucznych statystów kiedyś zwyczajnie pokryje kurz. Sukcesem nie jest mieć miliony na koncie i jeździć drogim samochodem. Sukcesem jest zachować twarz i szacunek do innych ludzi. Takie sukcesy pokazujemy w naszym magazynie. To aktorzy prawdziwych sztuk, ocenianych przez widza najwyższymi notami. To sukcesy, z których jesteśmy dumni. I oni też, bo przecież w tym chaosie teatralnych podróbek pozostają ludźmi.

Joanna Małecka

sukces
PO POZNAŃSKU

WYDAWCA: Międzynarodowe Targi Poznańskie
ul. Głogowska 14, 60-734 Poznań, NIP: 777-00-00-488

REDAKTOR NACZELNA: Joanna Małecka,
joanna.malecka@mtp.pl, tel. 539 190 081

ADRES REDAKCJI:
ul. Głogowska 14, 60-734 Poznań

MAIL: redakcja@sukcespopoznanisku.pl
www.sukcespopoznanisku.pl

REDAKCJA:

Elżbieta Podolska, Anna Skoczek, Małgorzata Rybczyńska,
Klaudyna Bogurska-Matys, Zofia Chalody, Sławomir Brandt,
Krzysztof Grządzielaki, Maciej Gładysz, Anna Jasińska,
Ewa Malarska, Dominika Job, Marta Józefczak

SPECJALISTA DS. SPRZEDAŻY I PROMOCJI:

Hanna Kowal, hanna.kowal@mtp.pl, tel. 539 190 080

PROJEKT I SKŁAD:

Zosia Komarowska, DoraDesign Dorota Kalińska-Luczak

KOREKTA:

Katarzyna Kurzawa

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: SŁAWOMIR BRANDT

DRUK: Poligrafia Janusz Nowak Sp. z o.o.
Wysogotowa, ul. Zbożowa 7, 62-081 Przeźmierowo

ODDANO DO DRUKU: 30.05.2019 r.

RPR: 3781

Wszystkie materiały są objęte prawem autorskim.
Przedruk i wykorzystanie materiałów wyłącznie
za zgodą redakcji. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania
tekstów i zmiany tytułów nadesłanych materiałów.
Redakcja nie odpowiada za treść reklam i materiałów
promocyjnych

5 | W obiektywie Szymona Brodziaka

ZAPOWIEDZI

- 6 | Detektyw i terapeuta w jednej osobie
- 10 | Early Warning Europe
- 15 | #KarliKOnTour jedzie dalej
- 16 | Katarzyna Grochola napisała kryminał
- 17 | Malta Festival Poznań 2019

NA OKŁADCE

- 18 | Prof. dr hab. Wiesław Hędzerek:
Stomatologia to moje życie

WARTY POZNANIA

- 24 | Nowy Teatr Muzyczny

NIERUCHOMOŚCI

- 26 | Magiczna podróż do podpoznańskiej Dąbrowki

GŁOS BIZNESU

- 28 | Anatol Ilnicki: Tam, gdzie czas nie płynie
- 32 | Event doskonały? To możliwe!

PORADNIK

- 34 | Zofia Cholody: Alimenty dla dziecka
- 36 | Tatiana Sokołowska: Jak przekonać ludzi by podążali za twoimi ideami
- 38 | Natalia Skiba, Zbigniew Leszczyński:
Mieszkanie idealne „Pod wynajem”

TWÓJ STYL

- 40 | Miejski szyk

Z SUKCESEM

- 42 | Katarzyna Wołyniak: Pędzel w obiektywie
- 46 | Miquel Garau Ginard: Czy to twoje?

POZIOM WYŻEJ

- 49 | Zainwestuj w swój komfort
- 50 | Mariusz Wiatrowski
- 54 | Agnieszka „Baca” Górską-Tomaszewska

58 | POMYŚL NA WNĘTRZE

ZDROWIE I URODA

- 60 | Piąsawica
- 64 | Zmarszczki level – up
- 66 | Borelioza – groźna choroba naszych czasów

SMACZNEGO

- 68 | Tomasz Zdrenka: Kucharz – orkiestra

AKTYWNIE

- 72 | Zrozumieć pilates

W PODRÓŻY

- 76 | Tzatziki, oliwa i souvlaki,
czyli czego trzeba spróbować w Grecji
- 80 | Z trójką dzieci dookoła świata

Z KULTURĄ

- 84 | Piotr Żurowski

ZA KULISAMI

- 88 | Szorstka miłość Starego Marycha

W OBIEKTYWIE

- 91 | Forum Podatkowe
- 92 | Być jak Nasa/ Lepiej w kasku
- 93 | Konwent Rozwoju/Maj smakujący Bałkanami
- 94 | Warsztaty ze stylistką/Wyborowe biesiadowanie
- 95 | Vinyl Ella Cafe
- 96 | Lider jest tylko jeden / Droga do celu
- 97 | Uniwersytet ma 100 lat
- 98 | Dobry design zaczyna się tutaj



ZDJĘCIE NA OKŁADCE:
SŁAWOMIR BRANDT

JESTEŚ TYM, CO WIDZISZ



Ballerina #01 – Limitowana Fotografia Autorska, fot. SzymonBrodziak.com

Ta olśniewająca tancerka w intrygującej scenerii to fotografia pochodząca z sesji *Ballerinas* autorstwa Szymona Brodziaka, która jest szczególnie związana z Poznaniem. Połączenie wysublimowanego piękna baletnic z monumentalnym charakterem budowy, to główny zamysł Brodziaka przy tworzeniu cyklu *Ballerinas*. Projekt ten powstał na uroczyste otwarcie Centrum Poznania z udziałem wybitnych absolwentek poznańskiej Szkoły Baletowej.

Zdjęcia z sesji *Ballerinas* zostały nagrodzone Srebrnym Medalem w prestiżowym konkursie fotograficznym *One Eyeland* w 2019 roku. W tej edycji konkursu Brodziak został także wybrany najlepszym twórcą fotografii czarno-białej na świecie. Sesja została też nagrodzona Brązowym Medalem na międzynarodowym konkursie *Prix de la Photographie Paris 2016*.

Szymon Brodziak – wizjoner i visualteller czarno-białej fotografii, wielokrotnie nagradzany na międzynarodowych konkursach. Pierwszy Polak i najmłodszy artysta, którego prace zostały wystawione w Muzeum Fotografii – Fundacji Helmuta Newtona w Berlinie. W 2013, podczas Festiwalu Filmowego w Cannes, jury *FashionTV Photographers Awards* uznało go za najlepszego na świecie fotografa czarno-białych kampanii reklamowych. Tworzy wizję czarno-białego świata, w którym główną rolę odgrywają kobiety, piękno i emocje. Prace Szymona można na co dzień obejrzeć w Brodziak Gallery w Poznaniu i Warszawie. Jego motto brzmi: „Jesteś tym, co widzisz”.



BRODZIAK GALLERY POZNAŃ
SPOT., ul. Dolna Wilda 87
tel. +48 795 770 771

BRODZIAK GALLERY WARSZAWA
Fabryka Koronek, ul. Burakowska 5/7
tel. +48 730 070 999

www.szymonbrodziak.com

Z tym egzemplarzem „Sukces po poznańsku” przy zakupie plakatów i fotografii autorskich Szymona Brodziaka w **BRODZIAK GALLERY POZNAŃ** i **STARY BROWAR** oraz **BRODZIAK GALLERY WARSZAWA** oraz na szymonbrodziak.com otrzymasz **10% rabat** – specjalny kod: **SukcesONE** (ważny do końca miesiąca).



Andrzej Trawiński, Aleksandra Trawińska,
Beata Szlachetka

DETEKTYW I TERAPEUTA W JEDNEJ OSOBIE

Dobrych fachowców w tym zawodzie wyróżnia dociekliwość. Jak u detektywa. Do tego skrupulatność – ona jest warunkiem koniecznym, aby w ogóle zacząć karierę w tej profesji. Trzeba też umieć aktywnie słuchać – jak terapeuta. O kim mowa?

O księgowych, którzy 9 czerwca obchodzą swoje święto.

TEKST: KONRAD BUGIERA | ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT

Samodzielny księgowy to jeden z dziesięciu najbardziej deficytowych zawodów w Polsce. To wniosek z opublikowanego niedawno raportu pt. „Barometr Zawodów 2019” przygotowanego w ramach ogólnopolskiego badania na zlecenie Ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

KTO W MIESIĄC ZMIENI PRACĘ?

Ranking zawodów, o którym piszemy, obejmuje profesje co rok zaliczane przez ekspertów do grupy deficytowych. Co ciekawe, mimo powszechnej opinii o zastępowaniu pracy księgowych automatyzacją i robotami, w prognozie krótkookresowej po raz pierwszy w historii tych badań, wymienia się jako deficytowy także zawód sklasyfikowany jako „pracownik ds. rachunkowości i księgowości”. Potwierdzają to dane poznańskie Oddziału Wielkopolskiego Stowarzyszenia Księgowych w Polsce o rosnącym zainteresowaniu kursami przygotowującymi do zawodu księgowego, a także opinie wielkopolskich księgowych zebrane w raporcie pt. „Portret Księgowych. Zapracowani, ale usatysfakcjonowani”. W przeważającej części znaleźli oni swoją obecną pracę w czasie krótszym niż 3 miesiące, z czego większość – szybciej niż w miesiąc.

Niewątpliwie informatyzacja zmienia oblicze i model pracy w księgowości, ale aktualnie kariera księgowej lub księgowego jest atrakcyjną alternatywą dla osób, które czują, że potrzebują zmiany na ścieżce swojego rozwoju zawodowego. Co zatem będzie sprzyjało sukcesowi w pracy księgowego, a co może stanąć mu na przeszkodzie?

NIEZALEŻNA OSOBOWOŚĆ

– Byłam pewna, że moja osobowość wyklucza w ogóle pracę w księgowości – mówi Beata Szlachetka, obecnie właścicielka biura rachunkowego, zatrudniająca 4 osoby, posiadaczka tytułu Certyfikowanego Eksperta Usług Księgowych oraz Certyfikatu Głównego Księgowego, nadanych przez Stowarzyszenie Księgowych w Polsce. – Od zawsze potrzebowałam sporej niezależności i uważałam, że w parze z moim energicznym usposobieniem w ogóle nie pasuje to do księgowości. Natomiast na początku lat 90., kiedy stałam przed decyzją o wyborze drogi zawodowej, wachlarz możliwości był zdecydowanie węższy niż teraz i wobec marnej alternatywy zdecydowałam się pójść do pracy w księgowości, ale zupełnie bez przekonania – opowiada przedsiębiorczyni.

Powszechnie uważa się, że księgowi to osoby o cichym usposobieniu, preferujące pracę indywidualną i z dokumentami. Rzeczywistość nie idzie w parze z tą opinią. Jak przyznaje Beata Szlachetka, szukając



Alicja Dylawerska

NIEZWYKLE POTRZEBNE W NASZYM
ZAWODZIE JEST WŁASNE ZDANIE
I INICJATYWA – MÓWI ALICJA
DYLAVERSKA, DYPLMOWANA
KSIĘGOWA

kandydatów do pracy w swojej firmie, ogromną wagę przywiązuje do nastawienia na pracę w grupie, komunikację, a także świadomość, jak zadania wykonywane przez daną osobę przekładają się na efekty prac całego zespołu. Potwierdza to również inna właścicielka biura rachunkowego – Alicja Dylawerska, wykładowczyni Stowarzyszenia Księgowych w Polsce.

– Niezwykle potrzebne w naszym zawodzie jest własne zdanie i inicjatywa – mówi Alicja Dylawerska. – Na początku kariery myślałam, że takie „wychylanie się” nie ma szansy sprawdzić się zawodzie – dodaje. Jest żywiołową, energiczną osobą i sądziła, że właśnie te cechy, które uważa obecnie za swoje atuty, będą przeszkodą w karierze. – Pewności w dyskusjach z pracownikami i klientami biura rachunkowego dodaje mi certyfikat Dyplomowanego Księgowego potwierdzający najwyższy poziom kompetencji i kwalifikacji, jaki jest możliwy w ścieżce edukacyjnej zaprojektowanej przez Stowarzyszenie Księgowych w Polsce – wspomina.

W CZTERECH KROKACH DO SUKCESU

Ścieżka edukacyjna księgowych stworzona przez Stowarzyszenie Księgowych w Polsce, pozwala w relatywnie krótkim czasie zacząć karierę w tej profesji. Obejmuje cztery stopnie, każdy zakończony egzaminem, którego wynik potwierdza certyfikat. Są to odpowiednio: księgowy, specjalista ds. rachunkowości (samodzielny księgowy), główny księgowy oraz stopień najwyższy – dyplomowany księgowy.

– Kursy i certyfikaty poza ich oczywistą rolą, czyli potwierdzeniem kwalifikacji, mają jeszcze jedną ważną funkcję – zauważa Andrzej Trawiński, główny księgowy w firmie projektowej świadczącej usługi dla branży energetycznej. – W naszym zawodzie ważna jest dyscyplina ciągłej nauki i jeśli ktoś nie ma jej na samym początku, to kursy i jasno wyznaczona ścieżka do zdobywania kolejnych uprawnień, bardzo pomagają w wyrobieniu dobrego nawyku – wyjaśnia.

Jak zgodnie przyznają wszyscy nasi rozmówcy, dynamicznie zmieniające się przepisy zmuszają do ciągłej aktualizacji wiedzy. Każdego roku dochodzą setki stron nowych przepisów, które księgowi muszą znać i rozumieć, aby nie narazić pracodawcy lub klientów na przykre konsekwencje. A trzeba pamiętać, że odpowiedzialność za prowadzenie ksiąg rachunko-

wych spoczywa na kierowniku jednostki (np. całym zarządzie spółki z o.o. albo na właścicielu w przypadku działalności gospodarczej osoby fizycznej). Pracodawca lub klient musi mieć zatem ogromne zaufanie do księgowego, któremu powierza to zadanie.

TERAPEUTA DLA ZARZĄDU

Siostra Andrzeja, Aleksandra Trawińska, także jest główną księgową. Pracuje w firmie z branży medycznej. Ona również zauważa, jak wiele jest różnic między powszechną opinią o pracy w księgowości, a tym, jak wygląda ona w praktyce.

– Choć z początku oczekiwałam i spodziewałam się, że praca w księgowości będzie spokojna, w odosobnieniu i skupieniu, wraz z przechodzeniem na kolejne szczeble firmowej hierarchii coraz większą rolę zaczęły odgrywać posiedzenia, narady, ustalenia – mówi Aleksandra Trawińska. – Czasem spotkania z zarządem wyglądają wręcz jak sesje u terapeuty. Trzeba aktywnie

śłuchać prezesów, bo wiele problemów związanych z finansami i mających swoje objawy właśnie w danych finansowych, które przechodzą przez ręce księgowych, ma swoje źródło w ludzkiej głowie. Dobry księgowy, wiedząc jakie jest przełożenie różnych działań podejmowanych przez zarząd na firmowe finanse, w rozmowie może wiele takich problemów rozwiązać. A czasem też ustrzec przed decyzją, która podjęta bez sprawdzenia finansowych konsekwencji, mogłaby spowodować na firmę spore kłopoty. Zanim jednak dojdzie do takiej rozmowy, trzeba te objawy „wytropić” w dokumentach – dodaje z uśmiechem.

Po tym uśmiechu widać, że praca w księgowości może być również pasją. Choć wymaga dużego zaangażowania, to wszyscy nasi rozmówcy zgodnie przyznają,

że świadomość przełożenia ich działań na funkcjonowanie przedsiębiorstw dostarcza wiele satysfakcji.

CHWYTAJ OKAZJE

W przypadku aż trójki naszych rozmówców sprawdził się scenariusz, w którym musieli wziąć na siebie większą odpowiedzialność, aby się rozwinąć. Przyznają, że bardzo się to opłaciło. Okazja przyszła z najbliższego otoczenia.

– Na początku mojej kariery pracowałam w dziale księgowym firmy budowlanej. W czasach, kiedy księgowość się na papierze, bez komputera, przykładowo

UWAŻA SIĘ, ŻE
KSIĘGOWI TO
OSOBY O CICHYM
USPOSOBIENIU,
PREFERUJĄCE PRACĘ
INDYWIDUALNĄ
I Z DOKUMENTAMI.
RZECZYWISTOŚĆ NIE
IDZIE W PARZE Z TĄ
OPINIĄ



naliczenie płac, przy ponad 40 zatrudnionych osobach, to był ogrom pracy. Trafiłam do oddziału firmy, a moja szefowa, główna księgowa, pozostała w centrali. Zostałam rzucona na głęboką wodę, ale podjęłam to wyzwanie. Musiałam pracować przez pewien czas po 12–13 godzin dziennie, ale wcale tego nie żałuję – wspomina Beata Szlachetka. – Dzięki temu doświadczeniu, zdobywanemu w ekspresowym tempie, moja szefowa, odchodząc z pracy do własnego biura rachunkowego, zaproponowała angaż również i mnie. Dziś mogę powiedzieć, że to było pierwsze z serii zdarzeń, które doprowadziły mnie do własnej firmy, która dostarcza mi mnóstwo satysfakcji – opowiada przedsiębiorczyni.

W przypadku rodzeństwa Trawińskich sytuacja wyglądała podobnie. Każde z nich, pracując w osobnych firmach stanęło przed podobną szansą.

– Pracowałam w sześciuosobowym zespole działu finansowego. Cztery osoby spośród nas zajmowały się księgowością, w tym główna księgowa. Jedna z koleżanek wraz z główną księgową odchodziły na emeryturę, a ja miałam za sobą już wcześniejsze awanse w wewnętrznej hierarchii firmowej. Co ważne – przez pół roku, podczas choroby głównej księgowej, pełniłam jej obowiązki. Stałam się więc naturalnym kandydatem na nowego głównego księgowego – opisuje swoją karierę Andrzej Trawiński.

Jak przyznają oboje – Aleksandra i Andrzej – nie można się bać, ale raczej wypatrywać okazji. Rozwijać się i być gotowym na zmianę.

– Jeśli można mówić o jakiegokolwiek recepcie na sukces – to chyba będzie właśnie to – pointuje Aleksandra Trawińska. ■

EARLY WARNING EUROPE

Przedsiębiorco, skorzystaj z pomocy zanim będzie za późno!

Dyskretna i bezpłatna pomoc dla przedsiębiorców w trudnej sytuacji to najważniejsza wartość Early Warning Europe (EWE). Do projektu realizowanego przez Fundację Firmy Rodzinne (FFR) oraz Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości (PARP) mogą zgłaszać się nie tylko przedsiębiorcy, którzy wpadli w kłopoty, ale również ci, którzy przeczuwają ich nadejście. Prewencja jest tańsza niż leczenie.

Do projektu Early Warning może zgłosić się każdy przedsiębiorca, którego Firma znalazła się w kłopotach lub który zaczyna dostrzegać pierwsze potencjalne trudności. Jak podkreślają zagraniczni eksperci, realizujący podobne przedsięwzięcia w Belgii i w Niemczech, nie warto czekać, aż problemy urosną. Jak mówi polskie przysłowie, szybka decyzja to połowa zwycięstwa.



Pierwszy kontakt

Konsultant pełni rolę lekarza pierwszego kontaktu, diagnozując przyczynę problemu. Przeprowadza z przedsiębiorcą pogłębiony wywiad. Wspólnie spoglądają na firmę z szerszej perspektywy i identyfikują obszary zagrożenia. Konsultant może udzielić bezpośredniej porady lub pokierować przedsiębiorcę do wykwalifikowanych w odpowiednich dziedzinach osób.



Efektem pracy z konsultantem może być:

- zdiagnozowanie problemu i wspólne wypracowanie rozwiązania,
- opracowanie wskazówek i skierowanie przedsiębiorcy do doradcy restrukturyzacyjnego,
- opracowanie diagnozy i skierowanie przedsiębiorcy do dalszej pracy z mentorem lub innym specjalistą



Praca z mentorem

Fundacja Firmy Rodzinne zaprosiła do projektu doświadczonych przedsiębiorców, którzy mają w sobie gotowość dzielenia się swoim doświadczeniem i wiedzą pro publico bono. Większość z nich sama w przeszłości przeżywała trudności prowadząc własne firmy. Mentor będzie dla przedsiębiorcy towarzyszem zarówno w kłopotach jak i procesie niezbędnych zmian. Mentorzy przeszli specjalne warsztaty, dzięki którym udoskonalili umiejętności skutecznego pomagania innym. Tym samym, dołączyli do międzynarodowego grona osób budujących kapitał społeczny przez dzielenie się swoim doświadczeniem i wiedzą. Przedsiębiorcy wraz z mentorami i konsultantami razem pracują nad znalezieniem najlepszego rozwiązania.

Więcej informacji na temat projektu, a także link do formularza zgłoszeniowego:

parp.gov.pl/ewe oraz ffr.pl/ewe

Zgłoszenia można dokonać również telefonicznie pod numerem: 664-316-709

wydarzenia

Koncert Lady Pank i piknik naukowy

7 – 8 czerwca, Plac Mickiewicza w Poznaniu

W piątek i w sobotę 7 i 8 czerwca mieszkańców Poznania i regionu na festiwal pod hasłem „100 lat razem” zaprasza Uniwersytet Poznański, czyli cztery uczelnie, które wspólnie świętują jubileusz stulecia.

7 czerwca na Placu Mickiewicza wystąpi od godz. 19.00 zespół Sonbird, polska grupa muzyczna pochodząca z Żywca, tworząca muzykę w stylu indie rock. Po niej na scenie pojawi się Lady Pank.

W sobotę 8 czerwca na koncertowej scenie na placu można będzie posłuchać takich zespołów jak Otschodzi, Bitamina oraz elektronicznego duetu z Krakowa Bass Astral x Igo.

Animacje dla mieszkańców i prezentacja tego, co najlepsze mają cztery uczelnie, początek w sobotę od godz. 14.00. W Parku Wieniawskiego można będzie m.in. wziąć udział w symulacji procesu sądowego. Uczestnicy, dzieci i młodzież od lat 9 do 14 otrzymają scenariusze do czytania, przebiorą się w togi i odegrają swoje role. Można będzie poddać się badaniu wariografem oraz stworzyć portret pamięciowy przestępcy. Na chętnych czekają warsztaty origami, malarskie, rzeźbiarskie i to, co dzieci uwielbiają najbardziej, czyli malowanie twarzy i puszczanie dużych baniek mydlanych.

Można będzie wybrać się na wycieczkę po Dzielnicy Cesarskiej i ringu Stübena, dowiedzieć się jak zmieniły się te miejsca w minionym stuleciu. Uniwersytet Przyrodniczy odkrywać będzie m.in. tajemnice przyrody pod hasłem „Las to nie tylko drzewa”. Studenci leśnictwa, przedstawią gatunki oraz rolę drzew liściastych i iglastych. Przybliżą ich funkcjonowanie i budowę. Pomogą nauczyć się rozpoznawania wybranych gatunków drzew i zwierząt poprzez zabawę z różnymi grami przyrodniczymi.

Akademia Wychowania Fizycznego proponuje zadbać nie tylko o umysł, ale także o ciało. Podczas festynu można będzie dowiedzieć się jak dobrze ćwiczyć i to nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Dietetyk podpowie jak utrzymać formę i zdrowo się odżywiać. Na porady mogą liczyć także ci, którzy siedząc przy komputerze, coraz częściej narzekają na bóle np. głowy, czy kręgosłupa szyjnego.

Z myślą o zdrowiu swoje stoiska przygotował także Uniwersytet Medyczny. „Szpital Pluszowego Misia” to stoisko dla dzieci, na którym najmłodszy wcielił się w rolę opiekuna swojego „chorego” misia, którego będą „leczyć” studenci – lekarze.

Dorośli będą mogli wykonać różnego rodzaju badania, m.in. w ramach profilaktyki chorób naczyniowych pomiary ciśnienia, glukozy.

Festyn pod hasłem „100 lat razem” potrwa w sobotę do 19.00 po nim, wzorem piątku, zaczną się koncerty na pl. Mickiewicza.

Wzdłuż ul. Wieniawskiego organizatorzy zaplanowali Złot Foodtrucków.

**PATRONAT
sukcesu**

Dziennikarskie Potyczki z Modą

8 czerwca, godz. 18, Dom Kultury „Pod Lipami” w Poznaniu

Dziennikarskie Potyczki z Modą – jedyne takie wydarzenie w Polsce organizowane przez Polską Akademię Mody. W modowej odsłonie zobaczymy dziennikarzy i ich gości.

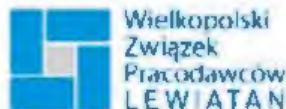


Jarmark Świętojański

8 – 23 czerwca, Stary Rynek

Na straganach pojawiają się produkty lokalne z Polski, ale też od zaprzyjaźnionych producentów z wielu krajów Europy. Przyjadą rękodzielnicy, ale też handlarze antyków. Przyjadą starociami w ofercie znajdą unikalne wyroby artystyczne, biżuteria, ceramika, rzeźba, artykuły rękodzielnicze i rzemieślnicze, tradycyjne regionalne przysmaki, świąteczne ciasta oraz bogata oferta gastronomiczna. Jak co roku nie zabraknie też spektakli teatralnych dla dzieci i dorosłych, koncertów i spotkań.

**PATRONAT
sukcesu**



Szkolenia z Lewiatanem

11 czerwca, godz. 10.00, siedziba Wielkopolskiego Związku Pracodawców Lewiatan, ul. Grunwaldzka 104,

sala 216, II piętro: szkolenie „Państwowa Inspekcja Pracy, jak się przygotować, czego można się spodziewać?” z udziałem przedstawicieli kancelarii MERSKI Radcy Prawni i Adwokaci Sp.k.

17 czerwca, godz. 10.00, Izba Administracji Skarbowej w Poznaniu, ul. Dolna Wilda 80 A: szkolenie Krajowej Administracji Skarbowej „Zmiany w ordynacji podatkowej PIT i CIT”.

26 czerwca, godz. 9.00, Centrum Edukacji Stowarzyszenia Księgowych w Polsce, Poznań ul. Ziębicka 18: szkolenie w ramach projektu „Równość w biznesie”.

PATRONAT
SUKCESU

GALERIA NA LETNIM

Zapraszamy od 30.09.2019
w godzinach otwarcia Dworca Letniego

Galeria na Letnim – nowe miejsce spotkań

Dworzec Letni, ul. Dworcowa 1

Galeria na Letnim – nowe miejsce spotkań w Poznaniu zainaugurowało swoją działalność. Wystawy fotografii oraz propagowanie wielkopolskiej turystyki i historii to wspólne przedsięwzięcia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, Centrum Animacji Kultury w Poznaniu i Kolei Wielkopolskich w przestrzeniach historycznego i bardzo urokliwego Dworca Letniego przy ul. Dworcowej 1. Obecnie można tam obejrzeć wystawę „Dziecko 2018”, która plonem Międzynarodowego Biennale Fotografii Artystycznej „Dziecko” organizowanego od 2003 r. przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Począwszy od 2008 roku konkurs jest rozgrywany co dwa lata pod patronatem Stowarzyszenia Twórców Foto-klub RP, Polskiego Komitetu Narodowego UNICEF i Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP).

PATRONAT
SUKCESU

Kobieta w roli głównej

13 czerwca, godz. 18.30, Solar, ul. Torowa 11, Poznań

Ponad 120 poznanianek wysłucha prelekcji ekspertek i praktyków biznesu, które podzielą się swoim doświadczeniem i wiedzą w zakresie dress code'u. Pierwszą z nich będzie Agnieszka Martyna-Rooss, ekspert i stylistka firmy Solar, która opowie o tym, jak za pomocą ubioru kreować swój profesjonalny wizerunek. Drugą ekspertką będzie Tatiana Sokołowska, trenerka umiejętności interpersonalnych, znawczyni etykiety, savoir vivre profesjonalnego wizerunku oraz występów publicznych. Podczas warsztatu uczestniczki dowiedzą się, jak tworzyć zawodową pewność siebie, budować umiejętność autoprezentacji, poznają zasady biznesowej etykiety, dowiedzą się, jak właściwie wykorzystywać mowę ciała, jak skutecznie zwalczać stres i robić dobre wrażenie na swoich rozmówcach. Spotkanie jest bezpłatne, obowiązuje rejestracja i rezerwacja miejsc.

Zapisy: www.kobietawroliglownej.pl

Dni Gminy Tarnowo Podgórne

14 – 16 czerwca, Tarnowo Podgórne

Konferencje, warsztaty, pokazy, koncerty – to i wiele więcej czekać będzie na mieszkańców i gości. W sobotę w Parku 700-lecia odbędzie się m.in. III Grand Prix w Siatkówce Gminy Tarnowo Podgórne, a na scenie pojawi się o godzinie 17.00 CLEO, a o 21.45 Varius Manx & Kasia Stankiewicz. Na zakończenie zaplanowano pokaz laserowy. W niedzielę z kolei o godzinie 15.00 rozpocznie się #Aeropiknik, czyli gry i zabawy lotnicze.

PATRONAT
SUKCESU

Nie bądź łos, przeczytaj coś

15 czerwca, godz. 12:00, WAKE PARK MALTA



W sobotę nad poznańską Maltą odbędzie się spotkanie dla dzieci w wieku 3-10 lat, którego celem jest promocja czytelnictwa. Na wspólne czytanie książek zaprasza ambasadorka Volvo Firma Karlik, aktorka – Ilona Wrońska. Wydarzenie odbywa się w ramach drugiego sezonu serialu #KarlikOnTour,

prowadzonego przez Firmę Karlik, organizatora akcji. Partnerem merytorycznym spotkania jest Wydawnictwo Zakamarki, które specjalizuje się w wydawaniu szwedzkiej literatury dla dzieci, cenionej za świetne ilustracje, mądre i pełne humoru teksty, a przede wszystkim za sposób podejścia do dzieci. Na najmłodszych czeka w tym dniu moc atrakcji, oprócz wspólnego czytania doświadczeni animatorzy poprowadzą zabawy ruchowe i plastyczne. Odbędzie się także parada uczestników z wykonanymi rekwizytami. Goście spotkania będą mogli skorzystać z oferty gastronomicznej Wake Park Malta, poznać ofertę Wydawnictwa Zakamarki oraz akcesoria Volvo dedykowane rodzinom z dziećmi.

PATRONAT
SUKCESU

art! Show

15 czerwca, godz. 15.00, Hotel HP Park

To już druga edycja imprezy artystycznej art! Show. Goście będą mogli zapoznać się z wieloma dziedzinami sztuki poczynając od malarstwa, florystyki poprzez fotografię, powieść i poezję, kończąc na muzyce i tańcu. Swoje prace zaprezentują zarówno artyści mający na swoim koncie wiele sukcesów jak i debiutanci.

Wstęp wolny.



UAP | RZEŻBA



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**

Dyplomy

**21 czerwca, godz. 7.30 – 16.00, I piętro siedziby UMWW
w Poznaniu, ul. Niepodległości 34**

Samorząd Województwa Wielkopolskiego we współpracy z Uniwersytetem Artystycznym w Poznaniu zapraszają na wyjątkową wystawę prac dyplomowych Wydziału Rzeźby UAP. Wydział Rzeźby traktuje prezentację dyplomów poza jej murami jako ważny element upowszechniania efektów dydaktyki i podsumowanie roku akademickiego. Na wystawie zobaczymy wszystkie realizacje dyplomowe studentów studiów magisterskich i wybór dyplomów studiów licencjackich.

Wstęp wolny.

**PATRONAT
SUKCESU**



Bieg LOTTO Poznański Czerwiec'56

23 czerwca, godz. 11.00, Zajeżdźnia Poznań, ul. Gajowa 1

II edycja 10 km biegu towarzyszyć będzie otwarciu 63 rocznicy obchodów poznańskiego czerwca „56. Lotto Poznański Czerwiec'56 odbędzie się 23 czerwca 2019 r (niedziela). Podobnie jak w zeszłorocznej edycji, tak i w tej – z każdego pakietu startowego przeznaczona zostanie kwota na zachowanie miejsc pamięci po bohaterach Czerwca'56. Na mecie uczestników zmagani będą witać kombatanci tamtych wydarzeń. Bieg to połączenie atrakcji sportowej i akcji edukacyjnej wspólnie z Muzeum Powstania Poznańskiego Czerwiec 56, oddziału Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości.

Zapisy na stronie www.biegczerwca56.pl

kultura

**PATRONAT
SUKCESU**

XII Dni Romana Wilhelmięgo

**6 czerwca, godz. 18.15, Skwer im. Romana Wilhelmięgo,
ul. Masztalarska**

Tradycyjnie fani Romana Wilhelmięgo spotkają się pod jego pomnikiem na skwerze jego imienia, by powspominać Mistrza i złożyć kwiaty w dniu jego urodzin. Po spotkaniu o godz. 19.00 odbędzie się poznańska premiera monodramu Sebastiana Rysia pt. „Zupa rybna w Odessie”.

Wejście na zaproszenia.

**PATRONAT
SUKCESU**

Hamlet

7 czerwca – premiera, Stara Rzeźnia

8, 9, 11, 12, 13 czerwca, godz. 18.00 i 20.30

W Starej Rzeźni zobaczyć będzie można spektakl „Hamlet” w reż. Mai Kleczewskiej. Do przestrzeni „Hamleta” będzie można dołączyć w dowolnym momencie, i w dowolnej chwili ją opuścić. Widzowie sami decydują, jak długo spektakl trwa, które fragmenty historii chcą zobaczyć i usłyszeć. Dzięki wielokanałowym słuchawkom, które każdy otrzymuje przy wejściu, sam wybiera, których fragmentów historii chce posłuchać. W trakcie jej trwania dowolnie sam decyduje, kiedy zmienić kanał dźwiękowy. Struktura „Hamleta” pozwala widzowi poruszać się swobodnie po sali wraz z aktorami – postaciami sztuki.

R E K L A M A

EMAUS
dobre radio

**budzimy
na WIOSNĘ**

POZNAŃ 89,8 fm
NOWY TOMYŚL 90,4 fm
LESZNO 90,2 fm
ŚREM 106,2 fm



Ethno Port 2019

13 – 16 czerwca, Centrum Kultury Zamek

Zapraszamy na dwunastą edycję festiwalu prezentującego muzykę wywodzącą się z tradycji kulturowej wybranych regionów świata. Wystąpią zarówno artyści kultywujący tradycję i najwybitniejsze osiągnięcia dziedzictwa polskiej i światowej kultury muzycznej, jak i ci, których projekty, stosując oryginalne środki artystycznej ekspresji, kreują nowe wartości. Program uzupełnią: potańcówka, spotkania, warsztaty, pokazy filmowe i wystawy.

Bilety: kasy CK ZAMEK, CIK i na www.bilety24.pl



Audiofeels

14 czerwca, Sala Ziemi MTP

Artyści przeniosą nas do elektryzującego i porywającego świata wielkiego rocka. Usłyszymy przeboje The Beatles, The Rolling Stones, Red Hot Chili Peppers, Led Zeppelin, Queen, Guns'n'Roses, Davida Bowie, U2. Zabrzmią mocne, ostre kawałki, ale i piękne ballady. Zespołowi Audiofeels towarzyszyć będzie Kasia Wilk, Poznańska Orkiestra Symfoniczna pod dyрекcją Łukasza Łodygowskiego oraz Chór Politechniki Poznańskiej pod dyрекcją Pawła Łuczaka.

**PATRONAT
sukcesu**



Orzeł i Krzyż

21 czerwca, godz. 21.30, Park Dzieje, Murowana Goślina

Widowisko „Orzeł i Krzyż – Zwycięskie Powstanie” to ponad 1500 historycznych postaci, 300 aktorów wolontariuszy, scena wielkości 6 boisk piłkarskich, efekty pirotechniczne, malowanie światłem, mappingi na wodzie, gra fontann i wiele innych efektów tworzących imponujący efekt. Największe widowisko plenerowe „Orzeł i Krzyż – Zwycięskie Powstanie” zabiera nas w przejmującą i ekscytującą półtoragodzinną podróż po losach Polski.

Bilety: www.ParkDzieje.pl i www.tobilet.pl

**PATRONAT
sukcesu**

Zakończenie 40. sezonu

24 czerwca, godz. 19.00, Scena na Piętrze, ul. Maszalarska 8a

Fundacja sceny na piętrze Tęspis zaprasza na zakończenie sezonu wraz z duetem Lucy&Tom, który zabierze nas do Paryża. Lucy&Tom to podróżujący muzycy, tęczący wielobarwny głos i dźwięk gitary elektrycznej. Wykształcona mezzosopranistka zjawiskowo śpiewająca muzykę rozrywkową oraz wrażliwy i ambitny gitarzysta blues-rockowy. W marcu 2018 roku podczas X Gali Kultury Koszalińskiej Lucy&Tom otrzymali nagrodę prezydenta miasta Koszalina za osiągnięcia w dziedzinie kultury. W 2018 roku zagrali oprócz innych pięknych miejsc, w legendarnej krakowskiej Piwnicy Pod Baranami.

Bilety: 70, 55, 40 zł

#KARLIKONTOUR JEDZIE DALEJ



Po sukcesie serialu #KarlikOnTour, w którym wraz z partnerami promowaliśmy zdrowy styl życia i przybliżaliśmy poznaniakom LAGOM, czyli szwedzką sztukę życia w harmonii, postawiliśmy sobie pytanie: co dalej? Stwierdziliśmy, że nasz tour powinien jechać dalej, odkrywać nowe historie, inspirować i budować kolejne relacje. Nadal będziemy korzystać z założeń filozofii umiaru i hasła „dokładnie tyle, ile potrzebujesz”, jednak w drugim sezonie chcemy odkryć kolejne szwedzkie słowo, które wprost odwołuje się do głównych wartości marki Volvo czyli bezpieczeństwa, jakości i troski o środowisko naturalne – OMTANKE.

TEKST: GRZEGORZ URBĄŃSKI | ZDJĘCIE: VOLVO FIRMA KARLIK

W języku szwedzkim słowo „Omtanke” oznacza „opiekę”, „troskę”, ale także „przemyśleć” – zawiera ono w sobie filozofię ochrony tego, co najważniejsze. Omtanke to wkład marki Volvo w budowę lepszego społeczeństwa oraz ochronę ludzi i środowiska poprzez budowanie współpracy w zakresie zrównoważonego rozwoju, a także promocję bezpieczeństwa ruchu drogowego wraz z przedstawicielami branży samochodowej oraz lokalnych i międzynarodowych organizacji. To także wkład w tworzenie, poprzez nasze wartości, praktyk odpowiedzialnego biznesu, w zgodzie z ideą etycznego przywództwa i prawami człowieka.

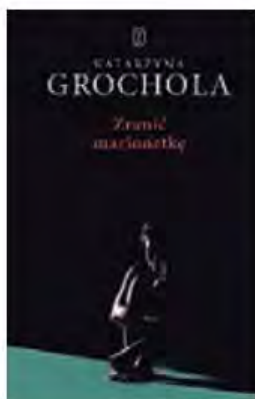
Volvo to globalna firma, co oznacza, że każda podjęta decyzja może mieć wpływ na świat i życie ludzi – dlatego w centrum wszystkiego, co robimy, jest zawsze człowiek. Nasze podejście do spraw środowiska wykracza poza działania związane z motoryzacją i ma wpływ na społeczeństwo. Bardzo skrupulatnie analizujemy konsekwencje naszych działań. Chcemy, by w 2025 roku 50 procent naszej sprzedaży stanowiły samochody elektryczne. Ten ambitny cel opiera się na pierwszej w branży motoryzacyjnej deklaracji, że wszystkie nasze nowe modele prezentowane od 2019 roku będą dostępne z napędem hybrydowym lub w pełni elektrycznym. Przesuwamy granice technologiczne, by znajdować nowe sposoby na zwiększenie bezpieczeństwa jazdy, przyjemności z prowadzenia i upraszczania codziennego życia.

Jako lokalny reprezentant Volvo, w Firmie Karlik, również korzystamy z Omtanke i podejmujemy przemyślane działania, które wpływają na życie najbliższej społeczności. Inspirację czerpiemy z natury Skandynawii – łączącej prostotę, piękno i funkcjonalność. W ten sposób powstały dwa projekty będące efektem troski o środowisko naturalne: biżuteria pARTs, wykorzystująca zużyte elementy samochodów Volvo oraz torba BANERKA, wykonana ze zużytych banerów oraz pasów bezpieczeństwa.

Volvo to synonim bezpieczeństwa, a świadczą o tym tytuły zdobywane w prestiżowych rankingach, jak choćby laur dla Volvo XC60 – najbezpieczniejszego samochodu 2017 w testach Euro NCAP. Ten wynik napawa nas dumą i motywuje do działania, dlatego cyklicznie organizujemy szkolenia w zakresie bezpiecznej jazdy dla naszych Klientów oraz edukujemy ich w dziedzinie udzielania pierwszej pomocy, a sami od roku aktywnie włączamy się w kampanię „Lepiej w kasku” i promujemy bezpieczne podróżowanie także na dwóch kołach. Podejmując wymienione inicjatywy globalny drogowskaz marki staramy się realizować lokalnie.

W drugim sezonie #KarlikOnTour, który startuje w czerwcu, będziemy podróżować z hasłem Omtanke i postaramy się pokazać „troskę” i „opiekę” w różnych wymiarach. Ponownie efekty naszych działań będzie można obserwować w mediach społecznościowych oraz blogu madebykarlik.pl. OMTANKE to nasza podróż. ■

KATARZYNA GROCHOLA NAPISAŁA KRYMINAŁ



29 maja na półki księgarskie trafiła nowa książka znakomitej pisarki, której kariera rozpoczęła się w Poznaniu, Katarzyny Grocholi.

I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jest to... kryminał.

ROZMAWIA: ELŻBIETA PODOLSKA



FOT. JACEK POREMBA

„Zranić marionetkę” rozpoczyna się od śmierci biznesmena, a potem jest krwawo i to bardzo.

Katarzyna Grochola: W świetle tego, co się ostatnio wydarzyło w Polsce, będzie bardzo na czasie.

Dlaczego właśnie kryminał?

Pod pretekstem kryminału łatwiej jest pisać o rzeczach strasznych niż w pogodnych książkach o miłości. Parę rzeczy mnie zraniło, zasłyszanych, opowiedzianych, zawierzonych i sobie pomyślałam – dosyć tego. Przecież nie będę zabijać w książce o miłości, prawda? Natomiast w książce o zabijaniu może być miłość. Wybrałam taką formę, która mi pozwoli na wszystko: na złość, na nienawiść, na niepokodzenie się z rolą ofiary.

To mało kojarzy mi się z bardzo kobiecą Katarzyną Grocholą.

Mi też. Ale prawdę mówiąc, znam bardzo dużo osób pokrzywdzonych i długo dojrzewałam we mnie ta książka, a nie umiałam znaleźć dla niej formy. W końcu pomyślałam sobie, że dobrą i dostępną dla mnie, jako pisarki, konstrukcją jest kryminał. Przecież nie napiszę poradnika. Teraz nastąpiła na świecie taka energia, że można już mówić o tych krzywdach. 21 lat temu napisałam dwa reportaże, jeszcze zanim byłam, że tak się wyrażę, popularną pisarką. Jeden był o gwałcie, a drugi o pedofilii. Oba zostały zapłacone i nieprzyjęte do druku ze względów społecznych. Jak na tamte czasy były za bardzo prawdziwe. Zresztą do dzisiaj nie straciły na aktualności.

Myśli Pani, że Pani czytelniczki polubią ten nowy styl?

Nie wiem. Ale ja stylu nie zmieniam. Już jestem ukształtowaną pisarką, natomiast zmieniam tematy. I nie jest to pierwsza zmiana w życiu. Z całym szacunkiem dla moich czytelników, których bardzo lubię i to od nich dostaję cały czas wsparcie, ale nie mogę pisać książek w oparciu o to, co się podoba. Po prostu poczułam, że jest to ważny temat. Długo we mnie siedział, a kryminał jest gatunkiem, w którym mogłam opowiedzieć tę historię. Mówię takimi ogólnikami, bo nie mogę zdradzać szczegółów. Mąż mnie strofował, że jest to jednak kryminał i nie wolno mówić i ujawniać za dużo.

Po prostu koniecznie trzeba przeczytać.

Nie, nie trzeba, ale można, jeśli kogoś to będzie interesowało. I pozdrawiam wszystkich w Poznaniu, z którym tak bardzo jestem związana. ■

MALTA FESTIVAL POZNAŃ 2019

Od 29 lat w czerwcu Poznań staje się miastem-teatrem, w którym sceną jest otaczająca nas przestrzeń.

Aktorów można spotkać na każdym kroku. Parady, spotkania, spektakle, gotowanie i wspólny taniec.

Nadchodzi Festival Malta 2019. Od 21 do 30 czerwca odbędzie się kilkadziesiąt bardzo różnorodnych wydarzeń.

TEKST: ELŻBIETA PODOLSKA | ZDJĘCIA: ARCHIWUM FESTIVAL MALTA, THOMAS LAROUKSS KALINARCZIK

– Malta to wyjątkowe spotkanie artystów, intelektualistów, osób o różnych poglądach, którzy dzielą się wiedzą, doświadczeniem, tym, (w) czym żyją – napisał Michał Merczyński, dyrektor Malta Festival Poznań. Widzowie są tutaj nie tylko uczestnikami, lecz także współtwórcami. Dlatego podczas 10 festiwalowych dni będą się przeplatać prezentacje międzynarodowego Idiomu „Armia Jednostki”, którego kuratorem jest Nástio Mosquito, z programem społeczno-artystycznym Generators Malta, spektaklami plenerowymi i premierami teatralnymi, projekcjami filmowymi, dyskusjami i koncertami. Sceną dla Malty jest miasto – wraz z jego architekturą, przestrzenią publiczną, a także sprawami, którymi żyją mieszkańcy. Dlatego w różnorodnych sekcjach programu będziemy obecni na scenach i w galeriach, w dzielnicach pozostających na uboczu życia kulturalnego, w parkach i na skwerach, wreszcie – w sercu Malty, które bije na placu Wolności, w samym centrum miasta.

Festiwal otworzy kolorowa parada przygotowana przez francuski zespół Transe Express. 21 czerwca ulicami Poznania – z placu Wolności na plac Adama Mickiewicza – przejdą tancerze, akrobaci, muzycy oraz pięciometrowe diwy. Finałem parady będzie nowa wersja spektaklu, który Transe Express pokazał na Malcie w 1993 roku.

Ważnym wydarzeniem będzie sceniczna adaptacja „Hańby” Johna Maxwella Coetzee’a przygotowana przez Macieję Podstawnego. Spektakl na podstawie jednej z najbardziej znanych i cenionych powieści noblisty i dwukrotnego zdobywcy Nagrody Bookera będzie największym teatralnym wydarzeniem festiwalu! Spektakl jest koprodukcją festiwalu Malta i Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach.

Na teatralnej scenie w samym sercu festiwalu będzie można obejrzeć spektakle młodych, ale rozpoznawalnych już twórców polskiego teatru. Wszystkie projekty łączy postać gwiazdy: artysty, aktora lub muzyka. Wieczory z teatrem na placu

Wolności są otwarte i darmowe! W programie sceny na placu Wolności pięć spektakli.

Festiwal Malta to nie tylko podróż po światowych premierach. W ramach programu Poznań na Malcie prezentowani będą twórcy, zespoły teatralne i instytucje kultury z Poznania.

Strefa WolnoSłowa tym razem zaprezentuje na deskach Sceny Wspólnej spektakl „Zwierzęta” w reżyserii Alicji Borkowskiej. Po raz szósty odbędzie się festiwal Młoda Malta! Scena Robocza ma dla widzów cztery propozycje. Fundacja Barak Kultury zaprosi na spektakle w reżyserii Przemka Prasnowskiego: „Rezerwat”, Antykabaretu Barbarzyńcy PL oraz „Całe życie w dresach” i „Kiedy będę duży” formacji Ba-Ku teatr. Natomiast Republika Sztuki Tłusta Langusta z Wojciechem Wińskim pokaże „Zryw” – poklejoną z polskich sprzeczności i pragnień rekonstrukcję Powstania Wielkopolskiego oraz koncert zespołu Morga.

Nie zabraknie także tańca w ramach Stary Browar Nowy Taniec na Malcie.

Zaproszeni przez Nástio Mosquito artyści z różnych części świata, odmiennych kontekstów kulturowych i społecznych staną się członkami Armii jednostki. Ich różnorodne praktyki artystyczne pokażą, jak złożony jest temat wojny i pokoju. Wszyscy zaproszeni twórcy zaprezentują swoje prace w Polsce po raz pierwszy!

W ramach Idiomu będzie można obejrzeć happening audiowizualny oraz spektakl – koncert Nástio Mosquito. Kelly Schacht zaskoczy kilkukrotnie widzów działaniami performatywnymi site specific. Benjamin Abras zaprosi do wspólnego doświadczenia wielokulturowości przez formę tanecznych warsztatów. Nie zabraknie spektakli tanecznych, które zaprezentują Alice Joana Gonçalves, Lisbeth Gruwez i Radouan Mriziga. Priscila Rezende zaprosi publiczność do bezpośredniego kontaktu. ■

**PATRONAT
sukcesu**



PROF. DR HAB. WIESŁAW HĘDZELEK

STOMATOLOGIA TO MOJE ŻYCIE

Zaczynał w gabinecie swojego taty i to tam przekonał się do tego zawodu.

Przeszedł długą drogę, napisał setki prac naukowych, wykształcił tysiące dentystów w całej Polsce, będąc m.in. kierownikiem Katedry i Kliniki Protetyki Stomatologicznej i dyrektorem Centrum Stomatologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

Członek wielu światowych stowarzyszeń, konsultant krajowy w dziedzinie protetyki, niekwestionowany autorytet w stomatologii, autor innowacyjnych i nowoczesnych metod leczenia. Ze swoimi badaniami zjeździł cały świat. I chociaż dużo podróżował, bo postawił na edukację, to zawsze miał czas dla swoich pacjentów.

Nigdy nie odmawia konsultacji, leczy ludzi po nowotworach, diagnozuje najtrudniejsze przypadki, a czasami nawet ratuje życie.

ROZMAWIA: JOANNA MAŁECKA, KLAUDYNA BOGURSKA-MATYS | ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT

Profesor Wiesław Hędzelek – jeden z najlepszych protetyków w Polsce, właśnie otworzył największą i najnowocześniejszą prywatną klinikę stomatologiczną w naszym kraju. Jest ona spełnieniem jego marzeń. I nie chodzi tylko o warunki pracy, ale o nowe możliwości leczenia przy pomocy najnowszych metod i pionierskiego sprzętu. I pewnie nie byłoby tego wszystkiego gdyby nie... wróżka.

To prawda, że wróżka przewidziała Panu karierę?

Kiedy byłem studentem, wróżka Hanka w Sopocie przepowiedziała mi podróżowanie po świecie i wielką karierę. Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku brzmiało to bardzo abstrakcyjnie. Pamiętam, że była to najbardziej znana wróżka w tym mieście, a może nawet i w kraju. Ustawiały się do niej bardzo długie kolejki, jednak moja mama na tyle się z nią zaprzyjaźniła, że wchodziliśmy bez czekania. Kiedy powiedziała, że za rok wybiorę się w podróż za morze i zrobię karierę, nie potrafiłem sobie tego nawet wyobrazić. W tamtych realiach taka podróż była praktycznie niemożliwa. Ja wcześniej nie jeździłem nawet do NRD, a co dopiero tak daleko!

Sprawdziło się?

Po letnich wakacjach poznałem rodzinę ze Szwecji i ich syna Carla, którzy odwiedzali znajomych w Poznaniu. Dzięki znajomości angielskiego, miałem tego niezwykle ciekawego obcokrajowca, mojego rówieśnika i studenta rehabilitacji w Malmoe, „zagospodarować” na czas ich pobytu. W ramach rewanżu zostałem zaproszony do Szwecji na kilka miesięcy. Kiedy płynąłem promem, cały czas myślałem o wróżce z Sopotu i o tym, co mi wtedy powiedziała.

Dzisiaj też chodzi Pan profesor do wróżek?

Nie, dzisiaj już nie chodzę. W końcu skoro tak ładnie mi przepowiedziała przyszłość wróżka z Sopotu, to po co to psuć (śmiech).

I tak się zaczęła Pana kariera?

Korzystałem z tego co zyskiwał mi los. Kiedy pojawiały się możliwości kształcenia – korzystałem. Kiedy mogłem napisać pracę naukową – pisałem. Kiedy proponowano mi uczestnictwo w konferencjach – jeździłem. W żaden sposób tego nie planowałem.

Podobnie jest z nową siedzibą CANDEO?

To kolejny, naturalny etap. Zawsze chciałem mieć duży gabinet, skupiający wielu specjalistów, gdzie moglibyśmy

prowadzić badania naukowe, wymieniać poglądy i zastosować najnowocześniejsze techniki leczenia.

Nowa siedziba prezentuje się okazale, ale zaczynał Pan przecież w piwnicy...

To prawda. Zacząłem od praktyk w gabinecie u taty, który był dentystą-protetykiem. Potem był wyjazd i praca na Uniwersytecie Ile-Ife w Nigerii. Tam nauczałem studentów i miałem wielu pacjentów, ale mało pieniędzy (śmiech). Po powrocie, w 1987 roku, otworzyliśmy gabinet przy ulicy Mickiewicza. Następny był na osiedlu Zwycięstwa i tam leczyłem pacjentów w... piwnicy, z dwoma unitami stomatologicznymi.

Ale przecież w piwnicy też może być ładnie.

No i było ładnie, ale wiecie Panie, piwnica to piwnica. Trochę takie podziemie. Stamtąd przeprowadziliśmy się na ulicę Grudzieniec, do domu jednorodzinnego. I tam, przy domu, zbudowałem gabinet. Po kilku latach, kiedy otrzymałem tytuł docenta, uznałem, że nie wypada już pracować w kanciapie i trzeba znaleźć jakąś dobrą lokalizację. I tak trafiliśmy tutaj, na ulicę Bednarską. Zaczęliśmy od trzech foteli, potem było sześć. Później mój syn Mateusz otworzył gabinety przy ulicy Milczańskiej. Obecnie, jak Panie widzą, znów się nie mieścimy (śmiech). Poza tym, nie mogłem patrzeć na tę poczekalnię dla pacjentów, która jest mała, a dodatkowo ciągle przechodzą tamtędy lekarze do pomieszczenia

socjalnego albo do sterylizatorni. I to już nie jest komfortowe, bo pacjent w poczekalni powinien się relaksować i mieć trochę intymności. Te i wiele innych czynników wpłynęło na to, że musieliśmy wybudować nową klinikę, nowoczesną, z najwyższej jakości sprzętem, innowacyjnymi rozwiązaniami, żeby jeszcze lepiej móc pomagać naszym pacjentom.

Od kiedy planował Pan Profesor wybudowanie tej „idealnej” nowej kliniki?

Od zawsze... Niestety, tak jak wspominałem wcześniej, nigdy nie miałem takich możliwości finansowych. Poza tym, miałem świadomość, że w celu zrealizowania tego planu konieczna jest osoba, która bardzo dobrze zna się na budowaniu nowoczesnych budynków użytkowych. Los nam sprzyjał – mój syn Mateusz nawiązał kontakt z poznańskim przedsiębiorcą – Panem Zbigniewem Lubką, który właśnie kończył swój trzeci tego typu budynek. Mieliśmy wiele szczęścia i udało nam się przekonać Pana Lubkę, żeby wybudował naszą wymarzoną klinikę. W poszukiwaniu finansowania, zwróciliśmy się do kolejnej życzliwej nam

NIE USUNĄŁEM ZĘBA
NA ŻYCZENIE
PACJENTA,
JEŚLI UWAŻAŁEM TO
ZA BEZZASADNE



osoby – Pana Michała Chrzęszcza z firmy Phinance. Udało się – dzięki Phinance pozyskaliśmy środki na budowę.

Czyli jest to spełnienie Pana zawodowych marzeń?

Tak. Oczywiście jest to piękny i nowoczesny budynek z najlepszym sprzętem, jednak najważniejsi są w nim ludzie. Mamy młody zespół ambitnych lekarzy i to mnie bardzo cieszy.

Dlaczego Pan został dentystą?

Po ojcu. Tata był dentystą-protetykiem i to od Niego uczyłem się zawodu. Chociaż marzyła mi się wielka kariera w dziedzinie chirurgii albo chirurgii szczękowej, tata powtarzał: bądź protetykiem, bo ludzie zawsze będą tracić zęby i tym samym potrzebować tych trzecich. Zresztą rekonstrukcje zębów, ich dopasowywanie do indywidualnych potrzeb pacjenta, to za każdym razem jest ogromne wyzwanie i przynosi wiele satysfakcji. Dużo osób przylatuje do nas z zagranicy na tydzień i w te siedem dni robimy im nowe uśmiechy. Musimy mieć tak precyzyjnie zaplanowaną pracę, żeby zdążyć.

Ma Pan „swoich” pacjentów?

Dziś nie, ale kiedyś tak było. Z biegiem lat zgłaszało się do mnie coraz więcej ludzi. Trzeba było szukać większych gabinetów i lekarzy. Sam już nie byłem w stanie wszystkich leczyć. Cieszę się, że w naszej klinice mamy świetny zespół doskonałych fachowców, których zresztą uczyłem. Oczywiście, uczestniczę w leczeniu pacjentów, potrafię siedzieć przy nich godzinami i rozmawiać. Uważam, że pacjent, skoro mi ufa, musi mieć moją opiekę i nigdy mentalnie nie mogę go zostawić. Ale na tym moja rola w leczeniu się kończy. Zajmuję się już tylko protetyką stomatologiczną.

I jest Pan jednocześnie naukowcem. Jak to wszystko pogodzić?

W pewnym momencie mojego życia wiedziałem, że nie dam rady połączyć tych obowiązków. Przyjmowanie dużej ilości pacjentów i prowadzenie jednocześnie szerokich badań naukowych, było po prostu niemożliwe. Pamiętam, kiedy urządzałem w restauracji hotelu Merkury obiad z okazji habilitacji, to musiałem pożyczać pieniądze. Takie były czasy. Wciąż jednak konsultowałem i pomagałem, bo przecież to jest wpisane w zawód.

Pan lubi pomagać?

No pewnie! Zresztą wiem, jak to jest, kiedy się potrzebuje pomocy. A to co robimy, zawsze do nas wróci.

Dobro i nauka, bo przecież wiedzy nikt nam nie odbierze.

Tak, dlatego gabinet zawsze był dla mnie dodatkiem, który powstał z potrzeby wykorzystania zdobytej wiedzy. Chciałem zajmować się pacjentami, wdrażać nowe techniki i sposoby leczenia. Przecież będąc wykładowcą, nie można było mieć oficjalnie gabinetu.

A Pan miał?

A kto nie miał! Na szczęście mamy inne czasy i dziś możemy przyjść do takich miejsc jak CANDEO Dental Clinic, które łączy praktykę z nauką. Codziennie spotykam się ze swoimi doktorantami i myślimy nad kolejnymi badaniami. Moim największym marzeniem jest wydanie jednego podręcznika, który będzie ukoronowaniem wszystkich moich prac naukowych.

Ta wieloletnia nauka opłaciła się, bo pacjenci mówią o Panu wspaniały lekarz.

Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że przez całe swoje życie nie usunąłem zęba na życzenie pacjenta, jeśli uważałem to za bezzasadne. Swoim studentom zawsze tłumaczę, że mają się zastanowić kilka razy, czy

na pewno ekstrakcja jest właściwą decyzją. Pacjentom przedstawiamy propozycję leczenia, a oni ostatecznie sami podejmują decyzję. Dzisiaj mamy tak nowoczesny sprzęt do diagnozowania, że możemy bardzo precyzyjnie sprawdzić wskazane przez pacjenta miejsce odczuwania bólu i stwierdzić, że powodem może być infekcja gdzieś indziej. Dzięki naszemu doświadczeniu i szerokiej ofercie diagnostycznej bardzo szybko znajdziemy źródło bólu i pomożemy pacjentowi.

I nie trzeba od razu rwać?

Ja jestem zwolennikiem leczenia. Ale jeśli już nic się nie da zrobić to trzeba usunąć ząb i zastąpić go implantem. Zresztą uczyli mnie tego znakomici lekarze, profesoria, w tym mój największy autorytet – profesor Eugeniusz Spiechowicz.

Czego nauczył Pana profesor Spiechowicz?

Wolności w myśleniu. Miał bardzo otwarty umysł i chłonił wiedzę z całego świata. Bardzo dbał o swoich podopiecznych i pomagał jak tylko mógł. Bardzo dobry i mądry człowiek. Uważał, że konferencje kształcą, że trzeba jeździć konfrontować swoje badania i co najważniejsze – nie można stać w miejscu, tylko trzeba się rozwijać. Bardzo szanował ludzi.

Tak jak Pan.

Dziękuję, wiele się od Niego nauczyłem. I wielu lekarzy powinno się od Niego uczyć. Niestety nie ma Go już wśród nas.

Wykształcił Pan setki, a nawet tysiące stomatologów, którzy dziś tworzą Panu konkurencję...

Wiedza jest miarą stomatologii.

No dobrze, ale gabinetów stomatologicznych jest coraz więcej. Jak w tym gąszczu znaleźć dobrego dentystę?

Tylko na naszej ulicy są trzy gabinety (śmiech). Doskonale rozumiem ten problem, bo to wcale nie jest takie proste. Zresztą wielokrotnie poprawiamy po innych stomatologach. Żeby uwiarygodnić dentystę, na pewno trzeba umówić się na konsultację, nawet jeśli byłaby płatna. Lepiej sprawdzić, niż potem naprawiać to, co ktoś zepsuje. Poza tym mamy Internet, możemy przeczytać opinie, informacje czy dentysta rzeczywiście jest lekarzem specjalistą, jakie szkoły ukończył i na ile jest wiarygodny. To jest trochę jak z kupowaniem ubrań – musimy przymierzyć, dopasować, a na końcu zdecydować czy nam odpowiada. I wcale miarą jakości stomatologa nie jest dobry samochód czy piękny gabinet – proszę o tym pamiętać.



Liczył Pan kiedyś swoich pacjentów?

Nie.

Ale są to setki? Tysiące?

Myszę, że tysiące.

Pana najtrudniejszy przypadek?

o była pani, która miała zęby leczone półtora roku wcześniej w innym gabinecie. Niestety okazało się, że zęby jej pomóc, musieliśmy postawić straszną diagnozę: ekstrakcja wszystkich zębów w szczękę. Ale ratowaliśmy jej zdrowie ogólne.

Dlaczego?

Ponieważ miała pod koronami „ropne balony”, powstałe na skutek nieprawidłowo przeleczonych zębów. Z kości pozostały zaledwie małe fragmenty. Musieliśmy jej o tym powiedzieć. Kobieta się załamała. Poza tym rokowanie było kiepskie, ale zdecydowała się na naszą propozycję. Usunęli-

śmy zęby, zrobiliśmy całkowitą protezę, uznając ją za tymczasową na czas gojenia przed założeniem implantów. Z biegiem czasu zaczęła nas atakować, mówiąc, że zrobiliśmy jej krzywdę, że to jest źle zrobione, że ona się źle z tym czuje. Mimo tłumaczeń z naszej strony, nie mogliśmy się dogadać. Na końcu pokazałem jej wyniki OB przed i po zabiegu, z których jasno wynikało, że uratowaliśmy jej zdrowie. Strasznie to przeżyłem, zresztą wciąż przeżywam każdego pacjenta i chciałbym, żeby każdy miał piękny uśmiech.

Czy to prawda, że zepsute zęby potrafią zatruć cały organizm?

Tak. W wielu krajach przed jakąkolwiek operacją trzeba dostarczyć zaświadczenie, że ma się zdrowe zęby. Miałem kiedyś pacjenta, który nie mógł dobrze zaciśnąć pięści. Miał popsute dwa zęby. Wyleczyliśmy je i któregoś dnia zadzwonił, że nie wiedział, że ma tak mocny uścisk. Bakterie z chorych zębów przenoszą się przede wszystkim na różne narządy, a więc np. serce, nerki, wątrobę, śledzionę, węzły chłonne, tak naprawdę „sieją” po całym organizmie. Podobnie jest w przypadku materiałów, które stosujemy do rekonstrukcji uzębienia – jak amalgamat, który w nadmiarze zatruwa cały organizm.

Pana zdaniem poznaniacy dbają o zęby?

Raczej tak, chociaż nie wszystko robimy na bieżąco ze względu na oszczędności i inne potrzeby. Zawsze ważniejsze okazują się zakupy, wymiana samochodu czy zakup mieszkania. A zęby zostawiamy na koniec. Ważne, żeby trafić do stomatologa w odpowiednim czasie.

Co to znaczy?

Najważniejsze to nie doprowadzić do takiego stanu, że już nic się nie da zrobić, czyli oprócz braków zębów, nie ma podłoża kostnego dla protez czy implantów. Kość obok zębów to jest najważniejsza składowa narządu żucia. Bez kości jest po prostu bardzo trudno wykonać rekonstrukcję uzębienia w sposób zadowalający i pacjenta, i lekarza. Często jest tak, że ponimo zadbanych zębów, któreś z nich nagle zaczynają się ruszać. Bagatelizujemy to do momentu, aż nie wypadną i wtedy dopiero idziemy do stomatologa. Wtedy bywa tak, że już nic nie możemy zrobić, bo kość jest bardzo zniszczona. Możemy oczywiście różnymi metodami to wszystko odbudować, ale proszę mi powiedzieć, czy dałoby Panie radę chodzić bez zębów półtora roku?

No nie.

No właśnie. Na szczęście dziś świadomość jest większa i zapobiegamy takim sytuacjom. Zwiększamy także dostępność zabiegów dzięki przyjaznym dla pacjentów programom ratalnym – takim jak np. MediRaty.

Czy jest prawda, że każdy z nas będzie miał w końcu problem z zębami?

Nawet najbardziej zadbane zęby w pewnym wieku słabną i wymagają leczenia. Zresztą wpływ na uzębienie ma wszystko – dieta, sposób życia, higiena. I nikt nie zagwarantuje, że za 30 lat te zęby będą wyglądały tak samo. Wystarczy jedna kontuzja na Starym Rynku i zębów nie ma. Żartuję oczywiście, bo to są przypadki losowe. Nie ma jednak gwarancji, że piękne zęby pozostaną takie na zawsze. W Poznaniu mamy szeroki dostęp do lekarzy stomatologów i możemy lepiej zadbać o zęby niż w mniejszych miastach, nawet niedaleko nas.

Zwraca Pan uwagę na zęby, kiedy poznaje kogoś nowego?

Niestety tak (śmiech). I widzę co je, jakie życie prowadzi. Pamiętam, kiedy ze znajomymi wyjeżdżaliśmy do Błażewka nad jezioro, to każdy biegł ze szczoteczką do zębów, bo wszyscy wiedzieli, że Hędzielek będzie rano robił przegląd.

I co to dało?

Do dziś mają piękne i zdrowe zęby. Ale rzeczywiście podczas wspólnych kolacji, zawsze rozmowa schodziła

na temat zębów. Z czasem przestałem przyznawać się co robię na co dzień. Któregoś dnia przyjechali do nas znajomi z Izraela i jeden z nich miał piękne, równe, białe zęby. Pamiętam jak wpatrywałem się w nie, kiedy mówił. Przez cały wieczór zastanawiałem się czy są prawdziwe, czy sztuczne. A on nie wiedział, że siedzi w domu u dentysty. I nagle rozmowa zeszła na tematy dotyczące zębów i wydało się, czym się zajmuję. Mój gość natychmiast poprosił mnie o konsultację, bo okazało się, że ma luźną szczękę. A ja byłem przeszczęśliwy, bo wreszcie mogłem sprawdzić co to za zęby (śmiech).

Sztuczne?

Sztuczne, ale pięknie wykonane.

Kto Panu leczy zęby?

Jak jest jakiś problem, to likwiduje go mój wybrany aktualnie lekarz, który oczywiście tutaj pracuje. I wyprzedzam kolejne pytanie – nie boję się dentysty i chciałbym, żeby żaden pacjent się nie bał. ■

WPŁYW NA UZĘBIENIE MA WSZYSTKO – DIETA, SPOSÓB ŻYCIA, HIGIENA



NOWY TEATR MUZYCZNY

Kilkanaście lat walki i starań, i wreszcie Poznań będzie miał nowy, najnowocześniejszy w Polsce teatr muzyczny.

W pobliżu budynku Bałtyku stanie nowoczesny gmach, w którym znajdą się sale na 1200 i na 300 miejsc.

Pierwsza premiera, według planów, odbędzie się już w 2023 roku. Koszt inwestycji to 170 milionów złotych.

TEKST: ELŻBIETA PODOLSKA | WIZUALIZACJE: ATELIER LOEGLER ARCHITEKCI

Teatr zostanie wzniesiony w Poznaniu – na działce u zbiegu ul. Św. Marcin i Skośnej, w sąsiedztwie Akademii Muzycznej. Na konkurs zgłosiły się 44 firmy i pracownie architektoniczne, do finału przeszło 6 z nich. 6 maja w Sali Białej Urzędu Miasta Poznania poznaliśmy zwycięzcę – najlepszy budynek zaprojektowało Atelier Loegler Architekci.

PRACE NIEMAL Z CAŁEGO ŚWIATA

Do konkursu zgłosiły się 44 firmy i pracownie architektoniczne – aż 14 z nich było spoza Polski. Byli wśród nich przedstawiciele Chin, Francji, Hiszpanii, Irlandii, Niemiec, Turcji, USA, Węgier, Wielkiej Brytanii i Włoch. W pierwszym etapie – do 19 grudnia 2018 r. – wszyscy uczestnicy musieli przedstawić autorski opis wizji bu-

dynku i otaczającej go przestrzeni. Jury oceniało również portfolia zgłoszonych pracowni.

DIALOG Z OTOCZENIEM

Do drugiego etapu zakwalifikowało się 6 najlepszych pracowni: Studio Architektoniczne „Kwadrat”, Atelier Starzak Strębicki z londyńską pracownią DRDH Architects, zespół ARPA Architektoniczna Pracownia Jerzego Gurawskiego i SKI Studio Błażej Szurkowski, KD Kozikowski Design, Jems Architekci oraz Atelier Loegler Architekci.

Sędziowie oczekiwali współczesnej formy architektonicznej, która mogłaby stać się wizytówką Poznania i spełniałaby przy tym wysokie wymagania funkcjonalne. Oceniano więc atrakcyjność każdego projektu:



jego oryginalność i trafność, walory architektoniczno-urbanistyczne, jakoś form i kompozycji oraz ich kontekst przestrzenny.

– Umieszczenie obiektu tak trudnego funkcjonalnie jak teatr muzyczny w takiej lokalizacji, w dialogu z otaczającymi go zabytkami – to wyzwanie urbanistyczne i architektoniczne – podkreślał juror Bolesław Stelmach. – Po ogłoszeniu wyników konkursu jestem przekonany, że Poznań zyskał wyjątkowe miejsce.

Ważna była też realność finansowa – jurorzy czekali na rozwiązania ekologiczne, innowacyjne i energooszczędne. Gmach musiał być też przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych.

– Dziękuję wszystkim architektom, którzy nadesłali swoje koncepcje na konkurs – mówi Jacek Jaśkowiak, prezydent miasta. – Wierzę, że zwycięski projekt będzie nową ikoną Poznania, wizytówką miasta, z której będziemy dumni.

NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH

– Zwycięska praca została najwyżej oceniona z uwagi na oryginalność i trafność projektu, szczególnie w kontekście powiązania z otoczeniem i wykorzystania naturalnego ukształtowania terenu – mówił Bolesław Stelmach, architekt, dyrektor Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki, Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej. – Sąd najwyżej ocenił

sposób odniesienia się do otaczającej zabudowy oraz kształt bryły wpisującej się w panoramę dzielnicy śródmiejskiej. Sąd zwrócił uwagę na otwartość wyrazistej formy, zapraszający charakter foyer i estetykę strefy wejściowej. Wszystkie trzy nagrodzone prace były wszechstronnie przeanalizowane i w różnym stopniu realizowały postulaty, jakie stawialiśmy przed autorami – wszystkie jednak udowadniały, że konkurs był na światowym poziomie.

WIELKI I NOWOCZESNY

Nowy teatr ma mieć 1,2 tys. miejsc na głównej widowni (dla porównania: Roma ma 1000, Gdynia 1100, Wrocław 730). Do tego 300 miejsc na widowni kameralnej i dodatkową przestrzeń na ok. 150–200 osób.

– Wierzę w sukces teatru muzycznego, który ma do spełnienia ważną rolę „teatru pierwszego kontaktu” – mówi Przemysław Kieliszewski, dyrektor Teatru Muzycznego w Poznaniu. – Metropolitalny Poznań już ponad 60 lat czeka na nową siedzibę Teatru Muzycznego. Będzie to pierwszy w powojennej historii miasta budynek teatralny zbudowany od podstaw. Poznań zyska wspaniałe, prestiżowe miejsce spotkań przy ulicy Święty Marcin, które stanie się dumą poznańców i Wielkopolan. Spodziewamy się, że w 2023 roku w nowym teatrze odbędzie się pierwsza musicalowa premiera. ■

MAGICZNA PODRÓŻ DO PODPOZNAŃSKIEJ DĄBRÓWKI



Jak w 20 minut przenieść się z centrum tętniącego życiem miasta do sielskiej krainy, gdzie w dzień ogrom zieleni koi zmysły, a nocą na granatowym niebie gwiazdy kreślą słowa we wszystkich językach świata? Odpowiedzią jest Dąbrówka.

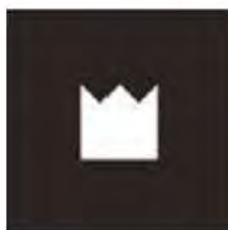
TEKST: AGNIESZKA JAWORSKA-GOŹDZIEWSKA | ZDJĘCIA: NICKEL DEVELOPMENT

Leżąc na zachód od Poznania wieś stanowi nie-zwykłą społeczność zaledwie 4000 mieszkańców. Słyszane z gościnności, dobrych sąsiedzkich relacji i przyjaznej atmosfery miejsce to doskonała przystań dla rodzin szukających swojego miejsca do życia. Mieszkanie tutaj wybierają z reguły osoby aktywne, które dzień spędzają w Poznaniu, by w wieczory i weekendy móc oddawać się sielskim klimatom u boku najbliższych.

WYGODNA KOMUNIKACJA

Życie po zachodniej stronie Poznania to doskonały wybór także ze względu na świetne skomunikowanie z centrum. Do miasta można dostać się szybką trasą S11, podmiejską komunikacją lub koleją. To wygodne rozwiązanie dla uczących się w Poznaniu, którzy w ledwie 12 minut – niczym

Harry Potter z przyjaciółmi – mogą pokonać trasę do swojego Hogwartu. Choć peron 9 i ¾ znajduje się w Pałędziu, to mieszkańcy Osiedla Księżnej Dąbrówki do stacji kolejowej mają zaledwie 600 metrów.



Osiedle
Księżnej
Dąbrówki

OS. KSIĘŻNEJ DĄBRÓWKI – GOŚCINIEC

Budowane od kilkunastu lat osiedle cieszy oczy architektoniczną różnorodnością, a bogata infrastruktura okolicy zachęca do zamieszkania w tym uroczym miejscu. Dziesięć etapów osiedla to przyjazny kompleks mieszkalny, z drogami wewnętrznymi i chodnikami, oświetleniem, placami zabaw i zielenią. Gotowy do zamieszkania dziesiąty etap Osiedla Księżnej Dąbrówki – Gościniec, oferujący przyjazną zabudowę bliźniaczą, powstał z myślą o rodzinach. Postawione w komfortowej odległo-



ści od siebie bliźniaki dają poczucie prywatności, przy jednoczesnym komforcie sąsiedzkiej opieki.

TWÓJ DOM

Cztery ustawne sypialnie na piętrze zapewniają komfort zarówno rodzicom, jak i dzieciom. Duża garderoba z oknem pozwala mieszkańcom utrzymać ład i porządek oraz zminimalizować ilość szaf w pozostałych pomieszczeniach. Atutem domów są także łazienki z oknami i wylewane schody. Znajdująca się na parterze przestronna strefa dzienna zachęca do wypoczynku i rodzinnej integracji. Część kuchennej-jadalnia łączy się z salonem, ten z tarasem, a stąd już tylko krok do prywatnego ogrodu, który przez większość roku stanowić może piękną i barwną wspólną strefę relaksu i rekreacji dla całej rodziny. Dla wygody mieszkańców w bryle budynku znajduje się także garaż.

MAGIA MIEJSCA

Dąbrówka ma niepowtarzalny klimat – nad tym miejscem unosi się historia pruskiej rodziny von Tempelhoff. Pierwszym właścicielem Dąbrówki został w latach 30. XIX wieku Karol Edward Tempelhoff, by kilkanaście lat później wybudować tutaj dwór. W 1870 roku otwarto linię kolejową Poznań – Berlin, przebiegającą przez Dąbrówkę, a kilka lat później wybudowano dworzec kolejowy (dzisiejsza stacja w Pałędziu).



Wież nieśie, że kolejni potomkowie rodziny von Tempelhoff byli urzeczni polską gospodarnością, gościnnością i pamięcią. Ten tutejszy rys od dekad pozostaje niezmienny, dlatego słynąca z sąsiedzkiej życzliwości Dąbrówka jak magnes przyciąga kolejne osoby, które chcą w tym miejscu mieszkać, zakładać rodziny i wspólnie tworzyć sielski klimat, budując lokalną, wielopokoleniową wspólnotę. Gościniec z radością ugości także i Was. ■

OSIEDLE KSIĘŻNEJ DĄBRÓWKI – ETAP GOŚCINIEC

www.dabrowki.com

sprzedaz@nickel.com.pl

T.: 506 175 176

Biuro sprzedaży:

Nickel Development Sp. z o.o.

ul. Piątkowska 110, 60-649 Poznań



TAM, GDZIE CZAS NIE PŁYNIE

Jest na ulicy Wysokiej w Poznaniu takie miejsce, w którym czas nie ma znaczenia. Można tam wejść, pomyśleć, rozwiązać problemy. Można porozmawiać albo pomilczeć. Odpocząć po ciężkim dniu albo nabrać energii. Przede wszystkim jednak można napić się wspaniałej herbaty parzonej według starego chińskiego rytuału. To magiczna kraina porcelanowych czarek, glinianych dzbanuszków, historii listków zrywanych z drzew mających 500, 700, 1000 lat, nad którą czuwa Anatol Ilnicki.

TEKST: ELŻBIETA PODOLSKA | ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT





Wpadam spóźniona, bo nie mogłam znaleźć Art of Tea (szukałam na Piekarach). Zagoniona, zdyszana i... po 10 minutach zapominam o świecie za oknem. Nie dociera stamtąd żaden dźwięk, a Pan Anatol pochłania całą moją uwagę. Opanowuje mnie spokój i „bezczas”.

Najpierw idziemy do gabloty, w której widać kolekcję Pana Anatola. Kolekcjonuje stare paczki z herbatą: puszki z 1932 roku, papierowe opakowania z Madrasem, Yunnanem, Popularną itp. z czasów komuny. – Powolotku moja kolekcja się powiększa – śmieje się Pan Anatol. – Wcale nie jest prosto zdobyć ciekawy egzemplarz. Herbata z czasów komuny miała zupełnie inny smak.

Po przeciwnej stronie – wystawa dzbanuszków i czarek. Wyglądają, jak naczynia do zabawy dla dzieci. Mi-

niaturowa zastawa dla lalek – takie jest moje pierwsze wrażenie.

Okazuje się jednak, że to właśnie w takich miniaturowych, filigranowych, delikatnych dzbanuszkach glinianych najlepiej parzy się herbatę. Wiele z nich robionych jest przez jednego z chińskich mistrzów, a także jego córkę, której przekazał tę unikatową sztukę. Od tego mistrza Pan Anatol osobiście nabywa czajniczki z Yixingu. Powoli orientuję się, że nic tutaj nie będzie zwykłe, codzienne. Nawet ubiór Pana Anatola przywołuje na myśl chińskie filmy.

HERBATY Z SELEKCJI

Dalej, pod ścianą, stoi chłodnia, jak do napojów. – Z herbatą – słyszę głos Pana Anatola za plecami. – Jak to z herbatą? – pytam. – To tegoroczny zbiór herbaty zielonej, białej i niektórych jasnych oolongów, które nie powinny ulegać procesowi oksydacji. W ten sposób spowolniamy proces starzenia herbaty – tłumaczy. Wszystkie herbaty, które mam, pochodzą z Chin, Tajwanu i Cejlonu, z niewielkich plantacji, które nie są opryskiwane, a uprawiane naturalnymi metodami. To dzisiaj jest już coraz większa rzadkość.

Art of Tea to herbaciarnia o wyjątkowym wyglądzie, gdzie wszystko stworzone jest w stylu klasycznych chińskich herbaciarni według kanonów feng shui. Herbaciarnia, w której jest miejsce dla samodzielnego parzenia herbaty i miejsce przy przepięknym, antycznym stole,

służącym dla dynastycznych ceremonii i degustacji, które prowadzi Pan Anatol. W tym cesarstwie herbaty panują zasady, jak w każdej prawdziwej chińskiej herbaciarni. Przy herbacie się nie je, nawet słodkości, a odkrywa piękne walory tego napoju.

CZŁONKOWIE RODZINY

– Tu nie przybywają klienci – mówi Pan Anatol. – Nazywam ich członkami herbacianej rodziny. Wpadają pogadać albo pomilczeć. Staram się odgadnąć nastrój ludzi, dobrać odpowiednią dla nich herbatę w zależności czego potrzebują. Jedni wpadają, by kupić herbatę do domu, inni zostają na jedno, drugie, trzecie parzenie. Przycho-
dzą także pomedytować albo opowiedzieć, co zabawnego wydarzyło się w ciągu dnia.

Wydawało mi się, że o herbacie coś wiem, bo przecież piję i to przeróżne rodzaje. Staram się rozróżniać smaki, odpowiednio zaparzać. Okazuje się jednak, że wiem niewiele. – Herbaty dobrej jakości można parzyć kilka razy, a istnieje też taka biała, która nawet po dwudziestu zaparzeniach będzie dobra – słucham opowieści Pana Anatola. – Oczywiście parzymy w małym dzbanku. Chińczycy wiedzą co robią – nasze nerki nie są przystosowane do przyjęcia dużej ilości płynu na raz. Trzeba pić stopniowo, powoli, wtedy lepiej funkcjonują, a my budzimy się do życia.

W tym czasie sypie 8 gramów herbaty do specjalnej czarki. – Trzymamy ją w dłoniach i podnosimy, by powąchać aromat herbaty – mówi dalej. – Zaczynamy od cennej, czarnej. Najpierw ogrzewamy czajniczek wlewając gorącą wodę. Następnie, już do suchego i ciepłego, wysypujemy delikatnie herbatę i zalewamy wodą. Tę wodę natychmiast wylewamy. W ten sposób budzimy herbatę, która w Chinach jest prażona. Cały aromat zamykamy jest w ten sposób w liściach i trzeba go rozbudzić. Dopiero drugie zalanie to prawdziwe parzenie. Czarki też ogrzewamy. Podnosimy je delikatnie trzymając w dłoniach i... siorbiemy. Tak, tak, siorbiemy i to mocno, by poczuć prawdziwy smak.

SIORBAĆ HERBATĘ

Okazuje się, że jednak nie potrafię siorbać tak, jak powinnam, ale obiecuję się uczyć. Skrępowanie naukami mamy, że siorbać nie wypada, jest jednak bardzo silne. Tak siedzimy naprzeciw siebie i kontynuujemy rozmowę o herbatach i nie tylko... Czas zniknął, nie ma nic poza opowieściami. Aż trudno uwierzyć, ale nawet telefon nie dzwoni. Członkowie herbacianej rodziny wchodzi, kupują, chwilę rozmawiają i znikają, a Pan Anatol opowiada dalej... – Pochodzę ze starego polskiego rodu spod Krakowa. Mamy własny herb rodzinny. W związku z tym, że moi przodkowie w czasach II wojny światowej byli wywiezieni do Kazachstanu, a w późniejszym czasie, w byłym Związku Radzieckim przesiedleni do Krymu, urodziłem się na samym brzegu Morza Czarnego. Półwysep Krymski zamieszkuje ponad 170 narodowości. Mieszały się obyczaje, religie, tradycje, kuchnia. Te wszystkie czynniki umożliwiły nabycie obszernej wiedzy. Jako chłopiec zacząłem uprawiać sporty walki. Tak poznałem kolegę z Korei i się z nim zaprzyjaźniłem. Bardzo dużo rozmawialiśmy i już wtedy zacząłem wchłaniać filozofie krajów dalekiego wschodu. Po skomplikowanym powrocie mojej rodziny do ojczyzny, ja zacząłem poszukiwać sie-

PRZY HERBACIE
SIĘ NIE JE,
NAWET SŁODKOŚCI,
A ODKRYWA
PIĘKNE WALORY
TEGO NAPOJU

bie. Zwiedziłem wiele krajów europejskich. Podróże i herbata fajnie się łączą.

Opowieść tak mnie wciągnęła, że nawet nie zauważyłam, że pijemy kolejne parzenie prażonej herbaty oolong, której listki nazywają się języczkami wróbla. Zmienia się aromat i smak. Pan Anatol idzie po kolejną puszkę. Tym razem jest to pu-erh. – My mówimy, że jest to czerwona herbata, a dla Chińczyków czerwona to nasza czarna, a tę nazywają pu-erh – rozmawiamy dalej. Na języku czuję igielki. Niesamowite wrażenie po wypiciu pierwszej czarki. – Herbata ma w sobie mnóstwo energii i w nas ją rozbudza. Kawa robi to na krótko, a dzięki herbacie mamy siły na cały dzień. Oczywiście mówimy o prawdziwej herbacie. Pomaga w utrzymaniu zdrowia. Pozwala na wyciszenie i zastanowienie się. Często przy jej picciu przychodzą do głowy rozwiązania problemów – dodaje.

WRÓŻENIE Z FUSÓW

Art of Tea to miejsce, gdzie można wypić herbatę, ale też zorganizować spotkanie integracyjne czy urodziny z rytuałem parzenia i picia herbaty, a nawet medytacje.

W celach rozpowszechnienia wiedzy, mistrz herbaciany prowadzi wielopoziomową edukację o herbacie. – W 2009 roku wraz z rodzicami założyliśmy herbaciany interes w kraju i sprowadzaliśmy herbatę z Cejlonu. Robimy to nadal. W 2013 roku postanowiłem kontynuować naukę dotyczącą herbat, dlatego wyjechałem do Chin. W Pekinie ukończyłem szkołę herbacianą, otrzymałem dyplom mistrza herbacianego i zdobyłem kontakty z producentami. Zwiedzałem herbaciane regiony, zdobywając wiedzę bezpośrednio od rolników prowa-

dzących plantacje, pomagając im przy produkcji. Cały czas się uczę i cały czas jeszcze mam mnóstwo do poznania, ale wiem, że odnalazłem swoją drogę. Pragnę przekazać następnym pokoleniom swoją wiedzę.

Co ciekawe, nie wiem czasu jak długo siedzimy i rozmawiamy, ale wypijamy prawie litr herbaty. Trzeba wrócić do rzeczywistości, choć nie jest to proste, bo za oknem szaro i leje, a tu jest ciepło i magicznie.

– Podobno z herbaty można wróżyć – rzucam. – Tak. Są to tylko dobre wróżby, żeby dodać energii do działania. Taka jest herbata: nie rozwiąże za nas problemów, po jej wypiciu one nie znikną, ale rozjaśni, poukłada nam w głowie i pozwoli na znalezienie rozwiązania. Magia, Pan Anatol, herbata, beczas... Będę tu wracać. ■

EVENT DOSKONAŁY? TO MOŻLIWE!

Chcesz zorganizować urodziny, imieniny, wesele, bankiet firmowy i nie wiesz od czego zacząć? A może potrzebujesz wsparcia przy przygotowaniu imprezy plenerowej? Zamiast rozkładać ręce i przeglądać setki ofert w Internecie, zadzwoń do Magic Events. Ich usługi są na najwyższym poziomie, a proponowany catering zaspokoi gusta nawet najbardziej wymagających. Świeże produkty, niebanalne podejście do gotowania, łączenie tradycji z nowoczesnymi technikami, elegancka forma podania – to główne atuty. Odchodzą od standardów i proponują rozwiązania nietuzinkowe, po które klienci regularnie wracają.

TEKST: JOANNA MALECKA | ZDJĘCIA: MAGIC EVENTS



Od ośmiu lat, z ogromnym powodzeniem, organizują święta miast, gmin i powiatów. W tym roku ich wariacji na temat ziemniaka będzie można spróbować podczas „Pyrlandii”, która odbędzie się na Łęgach Dębińskich 31 sierpnia. Na czele tej doskonale zorganizowanej maszyny stoi Monika Szczodrowska, dla której najważniejsza jest jakość. – Dbamy o każdy szczegół zarówno atrakcji podczas eventu, jak i cateringu, który jest jednym z najistotniejszych elementów – mówi. – Wszystkie produkty kupujemy u lokalnych

Magic
EVENTS

producentów, potrawy przygotowujemy tego samego dnia. Odchodzimy od standardów, wprowadzamy inne rozwiązania cateringowe, które cieszą się ogromną popularnością.

PŁONĄCE PRZEKĄSKI

Jeśli na stole pojawia się dym, a jedzenie jest idealnie ułożone na lustrach, to wiadomo, że za tym wydarzeniem stoi Magic Events. Catering, który do tej pory kojarzył się z kanapkami lub mikroskopijnymi przekąskami typu finger-food, przechodzi do historii.



Dziś liczy się pomysł, sposób łączenia smaków i podanie ich w taki sposób, żeby każdy chciał po nie sięgnąć. – Dziś klienci chcą czegoś więcej, czegoś, co robi wrażenie – dodaje Monika Szczodrowska. – A potem miło jest odebrać telefon z informacją, że to, co zrobiliśmy było pyszne i pięknie podane. I o to nam chodzi.

JADALNE OPAKOWANIE

Na specjalne zamówienie przygotowują też garmazerkę. Ich serwis obecny jest na miejscu, ale zanim cokolwiek pojawi się na stole, najważniejsze jest uszycie oferty na miarę. – Wszystkie propozycje pokazujemy przed imprezą w formie test panelu – mówi Monika Szczodrowska. – Wiele razy spotykamy się z zaskoczeniem, klienci zastanawiają się, z czego zrobione są poszczególne dania. A po degustacji chcą więcej i więcej.

Ostatnim projektem, którym mogą się pochwalić, był duży bal w Zaniemyślu. Dania podano w formie szwedzkiego stołu, a towarzyszył im... ciekły azot. Monika Szczodrowska zorganizuje każdy event. Pomysły na niebanalne serwowanie dań przywozi z zagranicy, gdzie catering to nie jest już zwyczajny poczęstunek, a uczta smaków i zmysłów. Jednym z Jej ostatnich rozwiązań są jadalne opakowania. – Nie wyobrażam sobie podać jedzenia niskiej jakości, jak robią to niektórzy. To wstyd dla firmy cateringowej – wyjaśnia.

PODEJMĄ KAŻDE WYZWANIE

Na co dzień obsługują wiele firm i instytucji. Przygotowują catering biznesowo-korporacyjny, czyli dostarczają śniadania, lunchy, jedzenie na uroczysto-



ści, imprezy zewnętrzne, integracyjne. Mają swoich animatorów, organizują konkursy dla dzieci i dorosłych, malowanie buziek, różnego rodzaju warsztaty i animacje, dostarczają żywe maskotki, proponują kreatywne zabawy oraz gry dostosowane do wieku i umiejętności uczestników eventu. Fantastycznym dopełnieniem każdej imprezy plenerowej są dmuchańce plac zabaw. Firma Magic Events w swojej ofercie posiada także i te atrakcje. „Ciuchcia” dla maluchów, kosmiczny plac zabaw „Rakieta” czy zjeżdżalnia „Smok” – to tylko kilka z posiadanych przez firmę dmuchańców. Dzieci nie potrafią się im oprzeć! Oczywiście nie może zabraknąć popcornu, waty cukrowej, sorbetów czy balonów z helem. Na specjalne życzenie proponują live cooking, obsługują cateringi VIP-owskie, serwując nawet krewetki we wszystkich postaciach. Dodatkowo zajmą się dekoracjami, nagłośnieniem, oświetleniem, pełną obsługą także w domu u klienta. – Często goście wracają do nas na poszczególne imprezy plenerowe i mówią: cały rok czekałem na to wasze pyszne jedzenie – kwituje Monika Szczodrowska. – I to jest dla nas najlepsza rekomendacja. Firma Magic Events ma swoje przedstawicielstwo także w Anglii. – Europa robi się coraz mniejsza, dlatego z tego nie skorzystać. Dla dobrej zabawy i pysznego jedzenia nie ma granic – podsumowuje Monika Szczodrowska. ■

MAGIC EVENTS

Polska, Monika Szczodrowska:

tel. +48 725 94 00 10

Wielka Brytania, Piotr Pawlicki:

tel. +44 7365 526356

ALIMENTY DLA DZIECKA

Zgodnie z Kodeksem rodzinnym i opiekuńczym, rodzice są zobowiązani do zapewnienia dziecku utrzymania (środków do utrzymania) aż do czasu, gdy dziecko osiągnie możliwość samodzielnego utrzymania się. Obowiązek ten powstaje od momentu narodzin dziecka.

Od tego dnia oboje rodzice (jeżeli oczywiście żyją i posiadają prawa rodzicielskie) mają obowiązek opieki nad dzieckiem. Jeżeli rodzic nie chce bezpośrednio uczestniczyć w życiu dziecka i swoimi osobistymi staraniami przyczyniać się do jego rozwoju i wychowania, prawo nie daje żadnej możliwości zobowiązania go do tego.

Pozostaje za to obowiązek alimentacyjny.

ZOFIA CHOŁODY

Radca prawny, członkini Okręgowej Izby Radców Prawnych w Poznaniu, właścicielka kancelarii Zofia Chołody i Wspólnicy Kancelaria Prawna, prawnik z ponad 10-letnim doświadczeniem. Specjalizuje się w prawie gospodarczym i cywilnym, jednak nie stroni od prawa administracyjnego. Wspiera przedsiębiorców w działalności biznesowej, obsługuje również podmioty lecznicze. Pomaga kobietom w ich rozwoju biznesowym i osobistym. Prezeska Klubu Kobiet Przedsiębiorczych.



ZOFIA CHOŁODY & WSPÓLNICY
KANCELARIA PRAWNA

ZASADA RÓWNEJ STOPY ŻYCIOWEJ

Obowiązek alimentacyjny względem dziecka wynika z przyjętej zasady zachowania równej stopy życiowej dzieci z rodzicami. Dlatego też rodzice zobowiązani są podzielić się z dziećmi nawet bardzo skromnymi dochodami. Zaspokajanie przez rodziców potrzeb dziecka może nastąpić nawet kosztem substancji ich majątku. Zwolnionym z obowiązku alimentacyjnego może być tylko ten rodzic, który nie posiada możliwości zarobkowych i majątkowych pokrywania kosztów utrzymania dziecka. Jednakże przyjmuje się, że zasada równej stopy życiowej nie oznacza automatycznego podziału osiąganych przez rodziców dochodów. Istota sprowadza się do zbliżonego z rodzicami zaspokajania usprawiedliwionych potrzeb dziecka, oczywiście uwzględniając też wiek, stan zdrowia itp.

KIEDY DZIECKO STAJE SIĘ PEŁNOLETNIE

Świadczenia alimentacyjne na rzecz dziecka mają na celu zaspokojenie jego podstawowych potrzeb życiowych. Tak więc obowiązek alimentacyjny nie wygasa automatycznie z chwilą uzyskania przez dziecko pełnoletności. W zależności od pewnych okoliczności (takich jak: wiek dziecka, zainteresowania, uzdolnienia, stan zdrowia, kształcenie się dziecka), pomimo osiągnięcia pełnoletności, dziecko nie ma możliwości samodzielnego utrzymywania się.

Zgodnie z orzecznictwem jest to sytuacja, w której pełnoletnie już dziecko poświęca cały swój czas na dalsze kształcenie, uczy się zawodu i nie może podjąć pracy celem swego utrzymania. Istotne jednak, aby

Dla istnienia obowiązku alimentacyjnego nie ma najmniejszego znaczenia fakt, czy rodzice pozostają w związku małżeńskim, separacji czy w faktycznym pożyciu. Obowiązek ponoszenia ciężarów związanych z utrzymaniem i wychowaniem dziecka jest niezależny od tego, gdzie ono się znajduje. Ponadto, obowiązek ten niezmiennie ciąży także na tym rodzicu, który nie zgadza się na pobyt dziecka u drugiego. Co więcej, rodzica (rodziców) nie zwalnia od obowiązku alimentacyjnego okoliczność, że dziecko jest faktycznie utrzymywane przez kogoś innego.



dalsze kształcenie się dziecka nie przybierało cechy pozorności (np. pełnoletnie dziecko nie może mieć kłopotów w nauce – powtarzać klasy, lat studiów). Pomimo zakończenia edukacji przez dziecko, rodzic może być w dalszym ciągu obowiązany alimentacyjnie, jeśli dziecko nie posiada środków utrzymania. Wówczas roszczenie alimentacyjne pełnoletniego dziecka jest uzasadnione sytuacją niedostatku. Ponadto, dziecko niepełnosprawne zazwyczaj nie jest w stanie utrzymywać się samodzielnie, może żądać alimentów od rodziców przez nieograniczony czas.

KIEDY IŚĆ DO SĄDU?

Jeżeli rodzice dziecka zobowiązani do ponoszenia kosztów jego utrzymania i wychowania żyją w rozłączeniu, każdy z rodziców, u którego dziecko przebywa, ma prawo wystąpić w imieniu dziecka do sądu z pozwem o alimenty na rzecz małoletniego. Jeśli dziecko jeszcze nie osiągnęło pełnoletności, musi być ono reprezentowane przez rodzica albo opiekuna. W sytuacji, gdy jedno z rodziców lub oboje nie spełniają ciążącego na nich obowiązku alimentacyjnego, pełnoletnie dziecko uprawnione do świadczeń alimentacyjnych może wystąpić na drogę postępowania sądowego celem realizacji jego prawa, a zobowiązania rodzica, dołożenia na utrzymanie i wychowanie dziecka w określonej kwocie pieniężnej.

W przypadku rozwodu, sąd w wyroku rozwodowym obligatoryjnie określa, w jakiej wysokości każde z rodziców ponosić będzie koszty utrzymania dziec-

ka. Alimony płatne są wówczas najczęściej do rąk tego z rodziców, u którego dziecko stale przebywa, w terminach miesięcznych, określonych w orzeczeniu. Natomiast jeżeli rodzice dziecka są w separacji, bądź dziecko pochodzi ze związku pozamałżeńskiego i rodzice żyją w rozłączeniu, ten z rodziców, u którego dziecko przebywa, ma prawo żądać sądowego zobowiązania drugiego rodzica do ponoszenia kosztów utrzymania i wychowania dziecka.

Żadne z rodziców, ani też inny przedstawiciel ustawowy dziecka, nie może ważnie zrzec się z góry w imieniu dziecka roszczeń alimentacyjnych, jakie służą dziecku w stosunku do obojga rodziców. Sprawy z zakresu ustalenia obowiązku alimentacyjnego lub podwyższenia alimentów, są zwolnione od kosztów sądowych. Oznacza to, że przy wnoszeniu pozwu nie ponosi się żadnej opłaty. Trzeba jednak pamiętać, że gdyby powództwo zostało oddalone, to sąd może nałożyć na stronę, która wystąpiła z pozwem, obowiązek pokrycia kosztów sądowych.

KIEDY RODZICE SĄ ZWOLNIENI Z OBOWIĄZKU ALIMENTACYJNEGO?

Rodzice są zwolnieni od obowiązku alimentacyjnego względem dziecka w przypadku, gdy dochody z majątku dziecka wystarczają na pokrycie kosztów jego utrzymania i wychowania. Ponadto, gdy dziecko może zaspokoić swoje uzasadnione potrzeby z innych źródeł, np. z pobieranej renty rodzinnej (na podstawie przepisów o ubezpieczeniu społecznym), z dochodów uzyskiwanych z majątku rodzeństwa, z którym dziecko razem się wychowuje, z pobieranego stypendium, z uzyskiwanych zarobków, w takim zakresie, w jakim powinno przyczyniać się do pokrywania kosztów utrzymania rodziny, jeżeli mieszka u rodziców.

UCHYLENIE OBOWIĄZKU ALIMENTACYJNEGO

Rodzic może uchylić się od obowiązku świadczenia alimentacyjnego na rzecz dziecka pełnoletniego. Dotyczy to przypadku, gdy spełnienie tego obowiązku wiązałoby się z nadmiernym uszczerbkiem lub gdy pełnoletnie dziecko nie dokłada starań do samodzielnego utrzymania się. W takim przypadku rodzic ma możliwość złożenia do sądu właściwego miejscowo dla siedziby pozwanego, czyli dziecka uprawnionego do pobierania świadczenia alimentacyjnego, pozwu o obniżenie lub uchylenie obowiązku alimentacyjnego. Jeśli rodzic domaga się obniżenia alimentów lub uchylenia obowiązku alimentacyjnego, to wówczas musi wnieść opłatę sądową od pozwu. Wysokość tej opłaty uzależniona jest od wartości przedmiotu sporu (5%). ■

JAK PRZEKONAĆ LUDZI BY PODĄŻALI ZA TWOIMI IDEAMI

Jeśli będziesz mówić o rzeczach, które Cię pasjonują, staną się rzeczy niezwykle. Zapomnisz o zdenerwowaniu, będziesz mówić z autentyczną pasją, w Twych oczach zapalą się iskierki, które oczarują publiczność. A co najważniejsze, po prostu będziesz sobą.

TATIANA SOKOŁOWSKA



Trenerka umiejętności interpersonalnych, ekspertka etykiety, savoir vivre, profesjonalnego wizerunku oraz występów publicznych. Dyplomowana trenerka biznesu, absolwentka historii sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Kreuje profesjonalny wizerunek kadry managerskiej, kierowniczej oraz pracowników na wszystkich poziomach organizacji.

Przygotowuje przedsiębiorców i polityków do profesjonalnego występowania w mediach.

Założycielka i CEO Firmy Business Dress Code.



BUSINESS DRESS CODE
TATIANA SOKOŁOWSKA

Wielu mówców często nadmiernie koncentruje się na technice oraz treści wystąpienia zapominając i zaniedbując kwestię autentyczności i naturalności przekazu.

Prawdziwość pozwala zdobyć zaufanie, bez którego nigdy nie będziesz wiarygodnym i inspirującym mówcą. Pozwoli Tobie zostać przywódcą, za którym podążą słuchacze. Prawdziwa i skuteczna komunikacja to ta, która odzwierciedla osobowość mówcy, wyraża jego wartości i emocje. To na ile potrafisz je pokazać, może okazać się kluczowym czynnikiem prowadzącym do sukcesu.

IDEA

Wybitni mówcy potrafią tworzyć inspirujące wizje i idee, które opowiedziane w szczególnie sposób potrafią zakorzenić się w ludzkich umysłach.

By móc stworzyć taką opowieść, zastanów się, jaka teza jest Ci bliska, co powoduje, że serce bije Ci szybciej oraz jakie wartości chcesz propagować.

Wybierz jedną, najistotniejszą ideę, która będzie centralnym punktem konstrukcji Twojego wystąpienia. Jeśli dobrze ją zdefiniujesz, Twoje zaangażowanie, pewność siebie oraz wiara w słuszność głoszonego celu sprawi, że słuchacze odczują wspólnotę i chęć realizacji Twojej misji.

Nadaj swojej myśli formę chwytliwego sloganu zachęcającego do działania.

WIZJA PRZYSZŁOŚCI

Prawdziwi liderzy i charyzmatyczni mówcy potrafią stworzyć wyrazisty obraz nadchodzącego sukcesu, umiejętnie łącząc racjonalne i emocjonalne elementy swojej wizji. Skuteczne przemowy docierają równie mocno do serca, jak i umysłu.

Zbuduj ze swoimi odbiorcami wspólny świat wartości i wizji przyszłości, dzięki któremu twoja idea może zakiełkować w wielu umysłach, rozprzestrzenić się i budować to, o co walczysz.

Pokaż swoje dotychczasowe działania uwiarygodniające Twoją historię. O jakich swoich zachowaniach, poczynaniach, priorytetach, osiągnięciach możesz opowiedzieć, by zbudować zaufanie. Przeanalizuj to, co zrobiłeś do tej pory, wypisz wszystko, wybierz te najważniejsze, włącz w swoją opowieść, udowodnij, że masz doświadczenie, siłę i charyzmę.

Prezentuj swoje poglądy pamiętając o wyrazistym zarysowaniu celu, wartościach i korzyściach płynących ze zrealizowania wskazanych tez i podążania za nimi. Spraw, że słuchacze zobaczą cel i poczują smak sukcesu, spowoduj, że zechcą być częścią Twojego projektu. Możesz również pobudzić ich energię pokazując, jak

wiele mogą wnieść do realizacji projektu. Spraw by zobaczyli to, co Ty widzisz i uzupełnili Twoje pomysły własnymi, sprowokuj by o nich opowiedzieli oraz rozbudowali Twoją wizję.

Aby twoje przemówienie było inspirujące i byś mógł pociągnąć za sobą tłumy:

- ▶ Zdefiniuj swój cel.
- ▶ Sprecyzuj wartości idee i przekonania, które będą pomocne w jego realizacji.
- ▶ Spisz fakty potwierdzające Twoje, zgodne z nimi działania. Zastanów się, które są najważniejsze, jak wpłynęły na Twoje życie, czego Cię nauczyły.
- ▶ Zastanów się nad celami słuchaczy – co jest dla nich ważne, co ich motywuje.
- ▶ Pomyśl jakie idee, wartości i przekonania są dla nich istotne.
- ▶ Znajdź łączące was obszary, rozwiń je i przedstaw wspólne cele i misje do zrealizowania.
- ▶ Zastanów się, co może stać na przeszkodzie.
- ▶ Stwórz obiecującą wizję sukcesu, opisz ją tak, by była jasna i ekscytująca dla wszystkich.
- ▶ Stań się najbardziej przekonującym ambasadorem swojej idei.
- ▶ Odwołuj się do emocji.

Jeśli przed Tobą i Twoimi odbiorcami jest ważny cel do zrealizowania, a droga do niego nie jest łatwa, nie kryj tego. Otwórz przed słuchaczami wizję trudów, z którymi przyjdzie się zmierzyć, okaż emocje, nie zapomnij wskazać drogi, którą ich poprowadzisz, a – co najbardziej istotne – opisz cel, którego osiągnięcie jest tych trudów warte. Jeśli poczujesz się niepewnie realizując ten scenariusz, przypomnij sobie mowę Winstona Churchilla wygłoszoną przed Izbą Gmin w 1940 roku, wzywającą do wojny z Niemcami.

„Chciałbym powiedzieć Izbie, tak jak powiedziałem ministrom nowego rządu: mogę wam obiecać tylko krew, znoj, łzy i pot. Stoimy przed ciężką próbą z najbardziej bolesnego rodzaju. Mamy przed sobą wiele, wiele miesięcy walki i cierpienia. Zapytacie, jaka jest nasza polityka? Prowadzić wojnę na ziemi, na morzu i w powietrzu z całą naszą mocą i ze wszystkich sił danych nam przez Boga. Prowadzić wojnę przeciwko potwornej tyranii, niemającej sobie równych w mrocznym i żalonym katalogu ludzkich zbrodni. Oto nasza polityka. Zapytacie, jaki jest nasz cel? Odpowiem jednym słowem. Zwycięstwo. Zwycięstwo za wszelką cenę. Zwycięstwo, pomimo wszelkich okropności. Zwycięstwo, bez względu na to, jak długa i ciężka prowadzi doń droga. Bez zwycięstwa bowiem nie ma przetrwania.” ■



MIESZKANIE IDEALNE „POD WYNAJEM”

Wanna czy kabina prysznicowa? Co wybrać, aby szybko i efektywnie wynająć nieruchomość?

Atrakcyjna oferta jest sumą właściwych wyborów.

NATALIA SKIBA

MENADŻER DS. NAJMU I SPRZEDAŻY NIERUCHOMOŚCI W ESTATE CENTER. Absolwentka Wydziału Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Wydziału Europeistyki w Gdańsku. Pośrednictwem w sprzedaży i najmie nieruchomości zajmuje się od 6 lat. Pierwsze doświadczenia w branży zdobywała w Trójmieście, od 3 lat związana z rynkiem poznańskim.

natalia.skiba@estatecenter.pl

ZBIGNIEW LESZCZYŃSKI

PREZES ZARZĄDU ESTATE CENTER SP. Z O.O. Absolwent Politechniki Poznańskiej Wydziału Elektrycznego. Licencjonowany zarządcą nieruchomości. Posiada duże doświadczenie w zarządzaniu oraz obsłudze technicznej nieruchomości. Wcześniej Prezes Zarządu CWW sp. z o.o., były członek Rotary Club Zielona Góra, a obecnie Rotary Club Poznań. W latach poprzednich

Członek Zarządu Miasta Zielona Góra, Prezes Euroregionalnej Izby Przemysłowo-Handlowej oraz Prezes Zarządu oddziału Stowarzyszenia Elektryków Polskich w Zielonej Górze. Prywatnie kocha golf i czas spędzony z rodziną.

zbigniew@estatecenter.pl



**ESTATE
CENTER**

Wiele osób poszukujących sposobu na zdeponowanie oszczędności w ciągu minionych 4 lat, zdecydowało się na zakup mieszkania. Inwestowanie w nieruchomości to nie tylko bezpieczna forma ulokowania nadwyżki finansowej, ale również możliwość powiększenia zainwestowanego kapitału o kilka procent w skali roku. Rentowność na poziomie około 6% w okresie najniższego od lat oprocentowania na lokatach bankowych spowodowała dynamiczny wzrost zainteresowania zakupem nieruchomości z przeznaczeniem pod wynajem. Poza ceną zakupu mieszkania, na późniejszy zysk z inwestycji ma wpływ długość okresu pustostanu, w trakcie którego poszukiwany jest najemca, wysokość czynszu najmu oraz koszty związane z zakupem i adaptacją wnętrza.

W sztuce wyboru idealnej nieruchomości najistotniejszym wydaje się znalezienie odpowiedzi na pytanie, która inwestycja jest najatrakcyjniejsza pod kątem wynajmu. Jednak nie tylko lokalizacja, rodzaj zabudowy czy powierzchnia mają znaczenie przy późniejszym znalezieniu najemcy i ustaleniu satysfakcjonujących warunków umowy. Istotna jest także odpowiednia aranżacja. Decyzje związane z wyborem elementów umeblowania powinny być skrupulatnie przemyślane. Często właściciele bagatelizują kwestie odpowiedniego wykończenia lub popadają w przeciwną skrajność, wybierając mało uniwersalne i zbyt drogie wyposażenie. Aktualnie, przy wysokiej podaży mieszkań na wynajem, decyzja o wyborze oferty sprowadza się do porównania funkcjonalności i atrakcyjności designu. Dobra lokalizacja nie wystarczy już do zagwarantowania szybkiego wynajęcia.

Kwestia wyposażenia wymaga przemyślanych decyzji inwestora. Nacisk na znaczenie wykończenia wnętrza nie jest tożsamy z koniecznością zakupu wszystkiego i z najwyższej półki. Warto pamiętać, że urządzamy lokal, w którym nie będziemy mieszkać osobiście. Aranżacja powinna być uniwersalna. Kobięta stylistyka skomplikuje wynajem dla mężczyzny,

a intensywna kolorystyka ścian lub ulubione przez właściciela meble w stylu Ludwika XVI mogą okazać się atrakcyjne dla zbyt wąskiego grona poszukujących. Zakup bardzo wysokiej klasy mebli lub elementów takich jak drewniane podłogi obniżą rentowność, a ich konserwacja może okazać się uciążliwa. Nie każdy lokator doceni oraz zadba o kosztowne wyposażenie. Wyjątek stanowią oferty, które szykujemy z myślą o konkretnym typie najemców. Jeżeli planujemy wynajem dla grupy docelowej pracowników szczebla kierowniczego, przebywających w mieście w okresie trwania kontraktów, wysoki standard jest uzasadniony. W większości przypadków takie osoby dysponują budżetem na zakwaterowanie określonym przez firmę, w której są zatrudnione. Właściciel nieruchomości będzie mógł liczyć na czynsz oscylujący na poziomie nawet 7000 zł miesięcznie, jednak nieruchomość musi być gwarancją komfortu dla przebywającego w niej pracownika firmy. Nieruchomości, które sprawdzą się przy nastawieniu na tę grupę docelową, to dobrze skomunikowane z centrami miast i dzielnicami biznesowymi posiadłości z ogrodami oraz apartamenty o powierzchniach powyżej 70 m².

W dużych aglomeracjach, takich jak poznańska, ze względu na liczne międzynarodowe korporacje, obserwujemy zapotrzebowanie na atrakcyjne apartamenty i domy do wynajęcia. Z uwagi na wysoki koszt zakupu i adaptacji, niewielu kupujących może pozwolić sobie na inwestowanie w ten rodzaj nieruchomości.

Naszym klientom lokującym kapitał na poziomie powyżej 700 tys. złotych rekomendujemy wybór dużych mieszkań lub domów. Przy obecnym wachlarzu lokali jedno- i dwupokojowych, przygotowanie propozycji dedykowanej dla klienta biznesowego i jego rodziny może okazać się świetną alternatywą dla zakupu 2 mniejszych o metrażach w granicy 40 m².

NAJEMCA DŁUGOTERMINOWY CZY DOBOWY?

Poza podjęciem decyzji o stylu aranżacji, znaczenie ma dobór sprzętu AGD i RTV, funkcjonalność mebli oraz drobny ekwipunek. W przypadku wyboru kolorystyki, dobrze sprawdzą się uniwersalne, neutralne

barwy połączone z akcentami w aktualnie panujących trendach. Na etapie zakupu wyposażenia istotny jest wybór kierunku najmu – długoterminowy czy dobowy.

Przy wynajmie krótkoterminowym, znaczenie ma osiągnięcie możliwie najefektywniejszej liczby osób jaką możemy zakwaterować.

Dla przykładu – lepszy będzie zakup dwóch pojedynczych łóżek do sypialni, dających możliwość połączenia lub rozdzielenia w zależności od przebywających w mieszkaniu gości. Przy wynajmie długoterminowym możemy założyć, że użytkownikiem sypialni będzie jedna osoba lub para. Dla takiego lokatora spanie przez rok lub dłużej na łóżku łączonym, będzie niekomfortowe.

W przeciwieństwie wynajmu długofalowego, przy wynajmie o charakterze hotelowym konieczne będzie zagwarantowanie drobnych elementów, takich jak pościelenie, ręczniki, akcesoria kuchenne czy żelazko. Lodówka, zmywarka lub płyta grzewcza z najniższej półki cenowej w przypadku obu rodzajów najmu może okazać się zbyt awaryjna. Nie warto szukać oszczędności w sprzęcie AGD.

Warto natomiast zastanowić się, jaki sprzęt jest niezbędny. Piekarnik i pralka będą potrzebne przy długim okresie najmu, natomiast przy wynajmie dobowym mogą okazać się mniej pożądane niż ekspres do kawy. Jeżeli wykluczamy wynajem dobowy, z nabyciem części sprzętów można wstrzymać się do momentu konkretnych rozmów.

Jak dokonać właściwych wyborów, aby stworzyć atrakcyjną ofertę?

Pomoc projektanta wnętrz może okazać się opłacalna w związku z rosnącymi oczekiwaniami dotyczącymi poziomu życia, funkcjonalności i estetyki.

Warto skorzystać także z porady doświadczonego pośrednika w obrocie nieruchomościami, który na co dzień, po prezentacjach, odbiera informacje zwrotne od poszukujących klientów.

Współpraca z biurem nieruchomości już od momentu poszukiwania odpowiedniej nieruchomości, poprzez doradztwo doświadczonego pośrednika na etapie wyboru formy wynajmu i selekcji właściwego wyposażenia – znacznie zwiększa szanse na szybkie znalezienie idealnego lokatora. ■

W DUŻYCH
AGLOMERACJACH
TAKICH JAK
POZNAŃSKA ZE
WZGLĘDU NA LICZNE,
MIĘDZYNARODOWE
KORPORACJE
OBSERWUJEMY
ZAPOTRZEBOWANIE
NA ATRAKCYJNE
APARTAMENTY I DOMY
DO WYNAJĘCIA

MARYNARKA W KRATĘ BARBARA BECHTA,
TOREBKA PINKO LOVE BAG,
OKULARY DIOR OPTICO



MARYNARKA W KRATĘ
BARBARA BECHTA,
CZARNA BLUZKA
NOVAMODA,
SPÓDNICA BARBARA
BECHTA, BUTY ZAPATO,
TOREBKA MYBAG,
OKULARY DIOR OPTICO

OKULARY SŁONECZNE PRADA OPTICO,
BIAŁA BLUZKA I CZARNE SPÓDNIE CITY CODE



TOP CITY CODE,
BIAŁE SPÓDNIE CITY CODE,
TOREBKA PINKO,
OKULARY MIU MIU OPTICO





TOP I BIAŁE SPODNIE CITY COSE,
BUTY ZAPATO,
TOREBKA PINKO LOVEBAG,
OKULARY MIU MIU OPTICO,
PASEK DEPARTAMENT TWÓRCZOŚCI

KAMIZELKA BARBARA BECHTA,
TSHIRT CITYCODE,
SPÓDNICZKA NOVAMODA.PL
TOREBKA WAISTED OFFICIAL,
OKULARY CHRISTIAN DIOR



KAMIZELKA BARBARA BECHTA,
TSHIRT CITYCODE,
SPÓDNICZKA NOVAMODA.PL
TOREBKA WAISTED OFFICIAL,
OKULARY CHRISTIAN DIOR,
BUTY ZAPATO

MIEJSKI SZYK

Miejski szyk i elegancja latem to nie tylko sukienki i swetry. Minimalistycznie, ze sportową nonszalancją możecie spokojnie wykorzystać szerokie spodnie i marynarki bez rękawów.

TEKST:



MARTA RASCH | KATARZYNA KAROLCZAK
NOVAMODA.PL



Warto łączyć czapki ze szlachetnymi, szerokimi spodniami palazzo, t-shirty z zabawnymi napisami z elegancją dłuższą kamizelką. Całość stylizacji podkreśli odpowiednią torebką i koniecznie latem zaskakującymi okularami słonecznymi! Będziecie wyglądać szalowo a zarazem będzie to wygodna propozycja na biurowe dni, spotkania z klientem jak i przechadzkę po mieście. Takie wszystko w jednym. ■

Więcej zdjęć z sesji znajdziesz na naszym blogu [Blog.Novamoda.pl](https://blog.novamoda.pl), po ubraniu z sesji i wiele więcej nowości zapraszamy do Butiku Novamoda ul. Kościelna 17.

PRZYGOTOWANIE SESJI, FOTO I STYLIZACJA NOVAMODA,
MODELKA KLAUDIA TURKOWIAK,
ZA WYPOŻYCZENIE OKULARÓW DO SESJI DZIĘKUJEMY SALONY OPTICO ŚREM



PĘDZEL W OBIEKTYWIE

Fotografią malarską zajmuje się od niedawna, a Jej dwa portrety już zdobyły nominację do branżowego Oskara. Kiedy patrzy na ludzi – widzi dzieła sztuki, a kiedy spaceruje ulicami Poznania, patrzy na miasto kadrami, mimo że nie zawsze ma przy sobie sprzęt fotograficzny. Trzymając aparat, sama przyznaje, zmienia się w innego człowieka. Z **Katarzyną Wołyniak**, poznanianką z wyboru, spotkałyśmy się na Śródcie, którą uwielbia za klimat, widoki i niepowtarzalne piękno...

ROZMAWIA: ANNA SKOCZEK | ZDJĘCIA: KATARZYNA WOŁYNIAK

Sama o sobie mówisz, że jesteś poznanianką z wyboru...

Katarzyna Wołyniak: Pochodzę ze Szczecina i niestety często muszę tłumaczyć, że moje miasto rodzinne wcale nie leży nad morzem. Do Poznania przyjechałam na studia, a właściwie na wymianę studencką, na drugim roku. Wtedy postanowiłam, że zostaję. Nie żałuję. Jest to moje miejsce na Ziemi. Podoba mi się, że Poznań jest różnorodny. Często przeprowadzam się w granicach miasta, poznając nowe dzielnice. Teraz mieszkam na Wildzie, która jest rewelacyjna i bardzo dynamicznie się zmienia. Otwiera się tam mnóstwo knajpek i jest naprawdę klimatycznie. Ale już zastanawiam się nad tym, czy nie zamieszkać na Jeźcach.

Ale wyprowadzki z miasta nie przewidujesz...

Poznań jest idealny! W Warszawie może i jest więcej możliwości rozwoju, ale samo miasto bardzo mnie męczy. Do Poznania przeprowadziłam się ze Szczecina, który jest zbyt spokojny, jak dla mnie. Warszawa z kolei jest zbyt hałaśliwa. Poznań jest po środku i czuję, że jest mój. Mam tak,

że idę ulicami Poznania i nagle się zatrzymuję, bo widzę zdjęcie. Staję, podziwiam detale architektury i miękkie światło żalując, że nie mam ze sobą aparatu. Życie to klatki. Czasem z tym fotograficznym patrzaniem na świat trochę przesadzam.

Dlaczego?

Ostatnio na przykład, już strasznie zmęczona, byłam jeszcze w jakiejś kawiarni na spotkaniu. W pewnym momencie poszłam do łazienki i kiedy spojrzałam w lustro, zauważyłam, że mam strasznie przekrwione oczy. Wiesz, co pomyślałam? Spoko, trzeba to teraz wystemplować, wystarczy drobny retusz...

Wymieszały Ci się światy...

Nie zawsze tak było. Zajmowałam się w życiu wieloma rzeczami. W pewnym momencie, pracując w branży IT, zaczęłam się zastanawiać, czy to daje mi szczęście. Cieszę się, że wtedy zdecydowałam się na szukanie swojej drogi,





choć wiadomo, że IT jest branżą bardziej dochodową niż fotografia. Nie do końca się jednak spełniałam, a muszę czuć to, co robię. Fotografia to nie tylko same zdjęcia, ale przede wszystkim spotkania z niesamowitymi ludźmi. Kocham to w tym zawodzie.

Stąd wzięła się fotografia malarska?

Nie tak od razu. Najpierw postawiłam na rozwój pasji, jaką jest fotografia w ogóle. Dopiero później połączyłam ją z fascynacją sztuką i tak zaczęłam swoją przygodę z fotografią malarską. Okazało się, że można to połączyć. To moja miłość i dlatego podczas sesji zamieniam się w innego człowieka. Nie ma dla mnie świata zewnętrznego. Biegam po studio, przerzucam eksponaty, ustawiam psy, rozmieszczam dzieci. Wtedy czuję się doskonale.

Jak się maluje aparatem? Czy jak zgłasza się do Ciebie klient, to patrzysz na niego i mówisz mu – Wow! Będzie się za tobą ciągnąc smuga białego, zwiewnego materiału?

Tak, teraz już tak faktycznie jest. Wcześniej sama wyszukiwałam modeli i modelki pod swoje pomysły. Dzisiaj, jak ktoś do mnie przychodzi, od razu zwracam uwagę na jego charakterystyczną urodę albo pewne drobne, ledwo zauważalne cechy. I już w wyobraźni widzę tego człowieka w odpowiedniej scenarii. Tak było na przykład z detektywem Maciejem. Chciał, żebym zrobiła mu zdjęcia biznesowe, ale kiedy go zobaczyłam, to już wiedziałam. Powiedziałam mu wtedy: „Maciej, mam taki pomysł. Cygaro, fotel. Zrobię z Ciebie takiego don Corleone. Wiesz, ojciec chrzestny i te klimaty.” On się wtedy chwilę zastanowił, ale dał się namówić i teraz zamiast

standardowych zdjęć biznesowych, wykorzystuje właśnie te w klimacie malarskim. To Go też wyróżnia na rynku i pokazuje Jego charakter. Zresztą przyznam szczerze, że ja sama nie spodziewałam się takiego piorunującego efektu tej sesji.

To zdjęcie zdobyło nominację do renomowanego konkursu fotograficznego Fine Art Photography Awards, czyli branżowego Oskara.

Tak i to dla mnie niesamowite wyróżnienie, ponieważ fotografią malarską zajmuję się tak naprawdę od niedawna. W międzynarodowym konkursie nominację do tytułu tego najlepszego zdjęcia, zdobyły dwa portrety mojego autorstwa. Wysłałam swoje prace oczywiście z wielką nadzieją, chociaż nie spodziewałam się tego, że uda mi się coś osiągnąć. Nie chcę być tutaj fałszywie skromna, ale nominacje mnie naprawdę bardzo zaskoczyły. Poziom konkursu jest naprawdę wysoki, a swoje zdjęcia przysyłają tam ludzie z całego świata, ze świetnym dorobkiem, niebywałymi pomysłami. Czołówka fotografów malarskich.

I co dalej?

Nie zdobyłam nagrody głównej, ale sama nominacja to już spore osiągnięcie. To jest trochę jak właśnie z nominacjami do Oscara. Już samo znalezienie się w tym wąskim gronie jest powodem do dumy. Takie momenty dają mi zastrzyk pozytywnej energii i pokazują, że wybrałam dobry kierunek i powinnam to robić dalej. Tym bardziej, że dopiero zaczynam swoją przygodę z fotografią malarską i jest to dla mnie świetna zabawa, możliwość artystycznego wyżycia się.

Jeden z nominowanych portretów to Detektyw Maciej, drugi to zdjęcie magicznej kobiety...

Inspiracją do tego zdjęcia było malarstwo holenderskie. Interesuję się malarstwem różnych epok. Nie mam swojego ulubionego nurtu, wszystko zależy kto stanie przed obiektywem. Jak patrzę na daną postać, to ona pasuje do jakiejś mojej wizji. Akurat Marzena, która jest na tym zdjęciu, ma bardzo delikatną urodę i to mi świetnie grało z wizją ukazania Jej właśnie w taki tajemniczy sposób. Tak jakby była lekko zagubiona...

Po co w ogóle ludziom takie zdjęcia?

Fotografia malarska jest wykorzystywana w różny sposób. Jeśli chodzi o osoby prywatne, to stanowi świetną pamiątkę dla pokoleń. To nie jest zwykły portret, to jest też bardzo elegancka rzecz, którą możesz sobie na przykład powiesić w domu jak obraz. Kiedyś, w minionych epokach, rodziny zamawiały portrety, które potem wisały na honorowym

miejsu w domu. Chciałabym przywrócić ten nurt poprzez fotografię malarską, bo to naprawdę wyjątkowa pamiątka. Z drugiej strony, dobrze sprawdza się też w komercji. Na przykład przy zdjęciach produktowych czy fotografii żywności. Jeśli tylko klimat pasuje do tematu, możliwości są nieograniczone. Wyobraź sobie na przykład taką sesję dla producenta owoców – wysypujące się z kosza jabłka albo rozsypane na stole gruszki. Ja już to widzę.

Robisz sesję, pstrykasz setki klatek i co później się dzieje? Ile z nich się nadaje?

Sesja trwa około 3 godzin, doliczając czas makijażu, przygotowania scenografii i ustawienia światła. To ostatnie wpływa na cały efekt zdjęcia w fotografii malarskiej. Światłem wydobywa się kontrasty. To tak jak w malarstwie renesansowym – najważniejsza była gra światła i cienia. Jak już zaczynam zdjęcia, to w trakcie sesji robię około 300–400 zdjęć. Modele, klienci mogą oczywiście sami wypróbować swoje pozy, ale przed wspólną pracą mam już w głowie dokładne pozycje, wiem, do czego dążę. Przeglądam miliony albumów malarskich, stron internetowych,

google arts... Przed zdjęciami rozrysowuję sobie story boardy. Szkicuję układ modeli, ich pozycje. Kiedy wchodzimy do studia, to już wiem, jak chcę ich zobaczyć, jaki chcę kadr.

Po takiej ciężkiej pracy na początku, czeka Cię jeszcze obróbka, ale ona chyba nie ma aż takiego znaczenia.

Ma znaczenie i to ogromne. Wiesz, to nie jest tak, że to ja wymyśliłam fotografię malarską. To jest popularny za granicą nurt, w którym retusz jest

bardzo ważny. Trzeba uważać na to, żeby nie przesadzić, bo akurat tutaj naprawdę łatwo o przesadę, stosując różnego rodzaju efekty. Musisz mieć pewne wyczucie. Praca nad obróbką zdjęcia w komputerze jest dość żmudna. Jedno zdjęcie obrabiam nawet godzinę. Często jest też tak, że obrabiam zdjęcie z 45 minut, wychodzę zrobić sobie herbatę, wracam i stwierdzam, że jest źle. No i zaczynam od początku. Mimo wszystko uwielbiam to robić, więc nie wiem czy kiedykolwiek będę sławna i bogata, skoro tyle czasu spędzam nad jedną klatką, ale trudno. (śmiech)

Jakie są Twoje kolejne plany związane z fotografią?

Mam mnóstwo pomysłów. Całą listę. Ostatnio na przykład pojawił się pomysł zrobienia projektu charytatywnego, w którym będą brali udział seniorzy i zwierzęta ze schroniska. Oczywiście zobaczymy, co przyniesie życie i co mi strzeli do głowy. Ogranicza mnie tylko własna wyobraźnia, a na nią nigdy nie mogłam narzekać. ■

FOTOGRAFIA TO
PRZED WSZYSTKIM
SPOTKANIA
Z NIESAMOWITYMI
LUDŹMI



CZY TO TWOJE?

Is this yours? – pyta Miquel Garau Ginard, Hiszpan z Majorki mieszkający od niedawna w Polsce. Codziennie rano zakłada eleganckie ubranie, specjalne rękawiczki i z uśmiechem na twarzy sprząta Poznań przez 10 minut. Kolejne grupki osób dołączają do Jego inicjatywy. Na koniec sprzątania układają stertę zebranych śmieci i pytają czyje są.

TEKST I ZDJĘCIA: DOMINIKA JOB

Umawiamy się na 7 rano. Jestem pewna, że się spóźni, ponieważ nigdy dotąd nie poznałam punktualnego Hiszpana. Okazuje się, że bardzo zdyscyplinowany Miquel jest przed czasem, a spóźniam się ja! Kolejny dowód na to, że stereotypy to tylko... stereotypy. Zawstydzona, od razu zabieram się do pracy. Sprzątam nieuczęszczany, ale widoczny skwerek przy ulicy Matejki. Niesamowicie jak szybko zapełniają się nasze torby na tak małej przestrzeni. Zebraliśmy pełno butelek, petów, kapsli, papieru, kabli i całą masę rzeczy, które nawet trudno opisać czym są, a raczej czym były. Czuję się jeszcze bardziej zawstydzona, tym razem z powodu ilości śmieci na ulicach Poznania. Nic dziwnego, że nawet Prezydent Miasta podjął wyzwanie Miquela. Jestem zatem bardzo zmotywowana, by działać dalej, pokazywać, jak łatwo można to zmienić i jak wielkie znaczenie ma każde tego typu działanie.

CHCIAŁ ZROBIĆ COŚ DOBREGO

Miquel środowiskiem naturalnym zainteresował się kilka lat temu, gdy mieszkał w Barcelonie. Zaczęła mu przeszkadzać ilość niedopałków leżących na ulicach, na plażach, dosłownie wszędzie. Postanowił działać i tak rozpoczął akcję „No Mas Colillas en el Suelo” (hisz. koniec z niedopałkami na ulicach). Ludzie tłumnie zaczęli dołączać do tej inicjatywy. Obecnie ponad 25 000 osób śledzi ten ruch na Facebooku, a na całym świecie ponad 40 ambasadorów dołączyło już do akcji.

CHCIAŁEM ZROBIĆ COŚ DOBREGO
DLA PLANETY, KTÓRA DAJE NAM
WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJEMY
DO ŻYCIA. NIE CHCĘ TYLKO ZARABIAĆ
PIENIĘDZY I KORZYSTAĆ Z DÓBR,
KTÓRE OTRZYMAŁEM

Są wśród nich kraje takie jak Wenezuela, Ekwador, Kolumbia, Chile, Argentyna czy Meksyk. – Dlaczego to robisz? Chcesz na tym zarobić? – Wręcz przeciwnie – odpowiada bez zastanowienia. – Chciałem zrobić coś dobrego dla planety, która daje nam wszystko, czego potrzebujemy do życia. Nie chcę tylko zarabiać pieniędzy i korzystać z dóbr, które otrzymałem. To jest mój dar dla Ziemi. Traktuję to jako swoje hobby.

Zbieranie niedopałków papierosów postanowił kontynuować po przeprowadzce do Polski. Chciał uświadamiać innym, jak ważne jest dbanie o środowisko. Prywatnie jest trenerem osobistym oraz pracuje jako Help Desk Analyst w branży IT, jednak to bycie Eco Coachem uważa za swoją najważniejszą rolę.





TO OTWIERA OCZY

Skontaktował się z założycielem „10 minutes a day BE” w Belgii i poprosił go, by zachował wszystkie niedopałki papierosów zebrane w ostatnich miesiącach. Chciał, żeby ludzie zobaczyli skalę problemu.

– Zróbmy Górę Wstydu! – powiedziałem, a Jean-Paul Meus od razu z entuzjazmem przyjął mój pomysł. Tak to się zaczęło. Ludzie na całym świecie robili góry z zebranych niedopałków i pokazywali to na filmikach i zdjęciach w mediach społecznościowych. Tworzyły się nowe grupy, inicjatywy, ruchy. Wzrosła świadomość, zainteresowanie problemem i zaangażowanie. Byłem tym bardzo podekscytowany – mówi wzruszony Miquel. – I wtedy niespodziewanie Jean-Paul rzucił mi wyzwanie: 10 minut sprzątnięcia przez 10 dni. Oczywiście, przyjmuję!

Jean-Paul Meus: Moja 10-minutowa historia zaczęła się na plaży. Chciałem pozbierać śmieci wokół mnie,

PAMIĘTAJCIE, ŻE SPRZĄTANIE
JEST BARDZIEJ ELEGANCKIE
NIŻ ŚMIECENIE – ZAPRASZA MIQUEL.
TO JAK, POZNANIACY –
PRZYJMUJECIE WYZWANIE?

a gdy zobaczyłem jak dużo ich jest, postanowiłem robić to codziennie przez 10 dni mojego pobytu na Bali. To doświadczenie bardzo otworzyło mi oczy... Codzienny mały gest prowadzi nas do większego zrównoważenia w życiu i pracy. Staram się podnosić świadomość i wyleczyć ludzi z ich ślepoty na śmieci. Popieram również Światowy Dzień Sprzątania i akcje sprzątania rzek.

Czy sprzątanie jest rozwiązaniem? To jest właśnie wielki paradoks, gdyż chcąc pewnego dnia przestać sprzątać, musimy teraz rozpocząć sprzątanie masowe. W tym celu właśnie założyłem #10MinutesadayBeChallenge jako swego rodzaju grę, która pozwala ludziom szerzyć tę inicjatywę wśród swoich przyjaciół. Misja jest jedna: wszyscy musimy zakasać rękawy i posprzątać nasz bałagan.

Miquel okazał się wspaniałym i charyzmatycznym zwolennikiem akcji sprzątania 10 minut dziennie. Bardzo doceniam Jego codzienne wysiłki i sukcesy w Polsce.

PODEJMUJESZ WYZWANIE?

Specjalne rękawiczki do sprzątania, elegancki garnitur i przyjazny uśmiech nieschodzący z twarzy – tak przygotowany, Miquel ruszył do akcji. Poważnie podszedł do zadania i już po kilku dniach rozpoczął sprzątanie Poznania. – Czyny, czyny i jeszcze raz czyny – to one będą mówić i inspirować innych bardziej niż słowa – mówi. – Chciałbym, żeby ludzie przestali myśleć i zaczęli bardziej czuć. Przestali nienawidzić i zaczęli kochać. Wszyscy możemy dbać o innych ludzi, o nasze otoczenie, zwierzęta, drzewa... Spójrzmy na to, co nas łączy, a nie na to, jak się różnimy. W końcu wszyscy chcemy i potrzebujemy tego samego.

Ruch, który w Poznaniu zainicjował Miquel, jest ruchem globalnym, bardzo łatwym do skopiowania. Bez względu na nazwę, każdy jest mile widziany. Do akcji możecie przyłączać się jako firma, szkoła, drużyna sportowa, grupa czy jednostka. Wszyscy razem tworzymy społeczność ludzi, którzy wspólnie robią coś dobrego. Wystarczy wziąć rękawiczki i torbę na śmieci wielokrotnego użytku. Twórzcie swoje grupy, dołączajcie do tych, które już istnieją, poznawajcie się i wzajemnie motywujcie. Wyniki swoich akcji pokazujcie na portalach społecznościowych, bądźcie dobrym przykładem dla innych. – Proszę, podziel się tą historią i dołącz do „10 minutes a day Poland”. Uśmiechnij się bardzo szeroko, załóż swój najlepszy garnitur czy sukienkę i rzuć wyzwanie swoim przyjaciołom. Pamiętajcie, że sprzątanie jest bardziej eleganckie niż śmiecenie – zaprasza Miquel. To jak, Poznaniacy – przyjmujecie wyzwanie? ▮



ZAINWESTUJ W SWÓJ KOMFORT

W zachodniej części Rewala, tuż nad samym morzem, powstaje nowy kompleks czterech apartamentowców. Inwestycję od plaży dzieli zaledwie 30 metrów. Już w czerwcu, pierwsi właściciele otrzymają klucze do swoich apartamentów.

TEKST I ZDJĘCIE: **ALSECCO MIESZKANIA I DOMY SP. Z O.O. SP.K.**

Kompleks zlokalizowany jest w pierwszej linii zabudowy, w cichej i spokojnej okolicy. Zaraz przy inwestycji znajduje się zejście na szeroką plażę, gdzie rokrocznie powiewa błękitna flaga. Jest ona gwarantem, że kąpielisko w Rewalu spełnia najbardziej wyśrubowane normy bezpieczeństwa oraz czystości.

PRZEMYŚLANA KONCEPCJA ARCHITEKTONICZNA

Inwestycja prowadzona jest przez znanego szczecińskiego dewelopera – firmę Alsecco. Charakteryzować się będzie nowoczesną architekturą z funkcjonalnie i przestronnie zaprojektowanymi wnętrzami. Teren inwestycji zostanie całkowicie ogrodzony, z bramami wjazdowymi na pilota. Każdy z apartamentów będzie posiadać własny balkon/loggię lub taras. Na dachach budynków zostaną zlokalizowane przestronne tarasy wypoczynkowo-widokowe. Inwestycja prowadzona jest w dwóch etapach. W I etapie zostanie wybudowanych 77 apartamentów o zróżnicowanej powierzchni od 30 do 67 m².

W drugim etapie inwestycji wydzielona zostanie zamknięta strefa rekreacji dla dzieci i dorosłych, tak aby

przyszli lokatorzy mogli komfortowo wykorzystać swój pobyt nad morzem.

ZYSK WIĘKSZY NIŻ NA LOKACIE

Dla osób, które myślą nad okresowym wynajęciem apartamentu, przewidziane są dwie opcje umów z operatorem. W pierwszej, właściciel dzieli się zyskami z operatorem, gdzie może uzyskać stopę zwrotu ok 7% w skali roku. W drugim wariantcie, właściciel może samodzielnie zarządzać swoim apartamentem i pozyskiwać klientów. Operator wówczas zajmie się wydawaniem kluczy, sprzątaniem, wymianą ręczników i pościeli. ■

Dni otwarte inwestycji:

7–8 czerwca oraz 28–29 czerwca
(piątek godz. 12–17, sobota godz. 10–16).

Umówienie wizyty, sprzedaż:

tel. 731 100 888, 570 306 630

Lokalizacja: Rewal, ul. Szczecińska

Strona inwestycji: www.apartamentyrewal.pl

Wizualizacja inwestycji 3d:

www.apartamentyrewal.pl/3d/tour.html



MARZENIE O PODRÓŻY ZACZYNA SIĘ NA LOTNISKU

Port Lotniczy Poznań – Ławica jest jednym z najlepiej rozwijających się lotnisk w Europie (w kategorii do 5 milionów mieszkańców). W ubiegłym roku obsłużył rekordową liczbę – 2,5 miliona pasażerów i ma jedną z najlepszych ofert czarterowych w Polsce. I chociaż poznaniacy często narzekają, że wciąż mamy za mało destynacji w porównaniu z innymi polskimi miastami, to wyjaśniamy, że byłoby ich więcej, gdyby nie horrendalnie wysokie odszkodowania z tytułu hałasu, które wydają się nie mieć końca i podobno stały się świetnym sposobem na biznes.

– Za tych 70 milionów złotych wypłaconych w ciągu ostatnich sześciu lat mielibyśmy nowy terminal – mówi **Mariusz Wiatrowski**, Prezes Zarządu Portu Lotniczego Poznań – Ławica, który niezmiennie, od 13 lat, rozwija poznańskie lotnisko i robi wszystko, by pasażerowie czuli się tutaj dobrze i komfortowo, bo sam zwyczajnie kocha latać.

ROZMAWIA: JOANNA MAŁECKA | ZDJĘCIA: PORT LOTNICZY POZNAŃ-ŁAWICA



Dlaczego poznańskie lotnisko jest tak ważnym punktem na mapie Poznania?

Mariusz Wiatrowski: To jest bardzo duży węzeł logistyczny, tutaj krzyżują się drogi dostarczania towarów, jest to też bardzo ważny punkt komunikacyjny miasta, łączący Poznań praktycznie z całym światem. Poza tym, w Poznaniu odbywają się największe targi w Polsce, konferencje, spotkania, na które przylatują tysiące ludzi. W ubiegłym roku mieliśmy przecież dwa ogromne, światowe kongresy: politologów i stomatologów. Takie wydarzenia w ogóle nie mogłyby się odbywać w Poznaniu, gdyby nie lotnisko. I gdyby go zabrakło, zniknęlibyśmy z gospodarczej mapy Polski.

Imprezy, wydarzenia, ale przecież dużo ludzi przylatuje do Poznania za pracę, prawda?

W ogóle aspekt emigracyjny stał się już nie tylko podróżą za pracę. Ludzie po 2004 roku, kiedy otworzyły się granice, przesiadli się z autobusów, pociągów właśnie do samolotów. W Wielkiej Brytanii budowę lotnisk wpisano do strategii rozwoju, bo są tak ważnym osiągnięciem cywilizacyjnym, że absolutnie nie wolno tego hamować. Dziś trudno sobie wyobrazić przyszłość bez lotnisk i bez ruchu lotniczego.

Jak Pan tak opowiada o rozwoju, pomyślałam sobie o naszej dziś małej strefie cargo, która kiedyś przecież była portem lotniczym.

LUDZIE PO 2004 ROKU,
KIEDY OTWORZYŁY SIĘ
GRANICE, PRZESIEDLI
SIĘ Z AUTOBUSÓW,
POCIĄGÓW WŁAŚNIE
DO SAMOLOTÓW



I to jest doskonały przykład na rozwój infrastruktury lotniskowej, który wynika ze zmian cywilizacyjnych. Kiedy tamten budynek przyjmował pasażerów, nie było aż tak dużych potrzeb. Tak naprawdę impulsem do rozwoju było wejście do Unii Europejskiej. Zniknęły bariery formalne, granice, skomplikowane odprawy, umowy bilateralne.

Nowy terminal okazał się niezbędny?

Ten mały nie był w stanie już obsłużyć lawinowo rosnącej liczby pasażerów. Dziś w swojej ofercie mamy połączenia regularne, a w tym Legacy oraz Low cost, i nieregularne – charterowe. Te pierwsze – Legacy – to głównie loty biznesowe obsługiwane przez linie

Lufthansa, LOT i SAS oraz dwie linie low-costowe, które dają nam ponad 50 procent ruchu lotniczego, czyli Ryanair i WizzAir. Drugie charterowe, to rokrocznie blisko 40 kierunków wakacyjnych. Ubiegłoroczny wynik, a więc 2,5 miliona obsłużonych pasażerów, pokazuje, że ludzie lubią stąd latać, cenią sobie bliskość portu, zresztą robimy wszystko, by świadczyć usługi na możliwie najwyższym poziomie.

I z roku na rok rośnie nam liczba połączeń czarterowych.

Tak. Mamy coraz więcej chętnych na wyloty wakacyjne właśnie z Poznania. Widzą to nasi partnerzy biznesowi, czyli biura podróży i zwiększają bądź utrzymują



swoją ofertę lotów. Cieszę się bardzo, że spośród lotnisk regionalnych jesteśmy drugim portem w Polsce, który ma tak rozbudowaną ofertę lotów czarterowych. Pracujemy nad kolejnymi destynacjami, m.in. do Kenii, na Wyspy Zielonego Przylądka.

A my narzekamy, że tych lotów jest wciąż za mało.

Zawsze znajdzie się jakaś destynacja, jakieś miejsce, do którego chętnie byśmy polecieci. A potem kolejne i kolejne. I można to zrobić, ale wszystko jest kwestią ceny. Lotnisko musi zarabiać, jak każdy inny biznes. Proszę pamiętać, że jesteśmy przystankiem, często tylko na żądanie. Linie lotnicze muszą mieć pewność, że klient, który znajdzie się w tym miejscu, pozwoli na efektywność tego biznesu, a więc lot i destynacja będą dla niego opłacalne.

Ilu pasażerów obsłużyliście w ubiegłym roku?

Dwa i pół miliona pasażerów. Dzięki temu wzrostowi wypełniliśmy zobowiązania wobec komisji europejskiej. Zgodnie z umową, do 2020 mieliśmy obsłużyć 2 410 000. A my zrobiliśmy to dwa lata przed terminem. Jestem z tego bardzo dumny.

Ale poznańskie lotnisko dalej będzie się rozwijać?

Tak, dlatego że wymagają tego nasi pasażerowie, przepisy związane z bezpieczeństwem, musimy stale udoskonalać obsługę pasażerską, która ma być bardziej przyjazna i bardziej dokładna. Na te działania przeznaczane są ogromne środki finansowe idące w miliony złotych. Chcę tutaj podkreślić, że zarówno Przedsiębiorstwo Państwowe „Porty Lotnicze” w Warszawie, które zarządza m.in. lotniskiem Chopina, Miasto Poznań i Samorząd Województwa Wielkopolskiego, rozumiejąc ogromną potrzebę rozwoju, podnosi nam kapitały o kwotę 47 milionów złotych. Dodatkowo, zwiększyliśmy finansowanie z banku o kilkadziesiąt milionów złotych ze względu na odszkodowania (Art. 135 ust. 1 ustawy z dnia 27 kwietnia 2001 r. Prawo ochrony środowiska), które wciąż wypłacamy mieszkańcom. Jest to rzecz dla nas bardzo trudna. Mam tutaj bardzo duże zastrzeżenia do operatorów, opinii biegłych, które stoją za wyrokami sądów.

Czy tych odszkodowań wciąż jest tak dużo?

Tak. W ciągu sześciu lat wypłaciliśmy już kwotę ponad 70 milionów złotych. Dla Pani redaktor wyobrażenia, był to cały nasz przychód roku 2017. Na razie sądy nadal uznają argumenty mieszkańców, biegli nadal uważają spadek wartości nieruchomości przez niekorzystny wpływ hałasu. Uważam to za niesprawiedliwe. Nikt z mieszkańców nie zgłosił się wcześniej do nas, żebyśmy wykupili ich mieszkania czy domy, ponieważ przez hałas nie da się tam żyć. Mamy wrażenie, że jest to jedynie dodatkowy zastrzyk finansowy dla gospodarstw domowych. Zgodzi się Pani, że chyba nie o taką interwencję ustawodawcy chodziło, chyba nie po to strefa ograniczonego użytkowania została stworzona, żeby wywierała tak negatywny wpływ i tak bardzo ograniczała możliwości inwestycyjne portu lotniczego. Wyobraźmy sobie, że te same pieniądze moglibyśmy przeznaczyć na inne cele, które pozwoliłyby na stworzenie jeszcze lepszych warunków dla funkcjonowania portu i dla naszych pasażerów.

Co można by było zrobić za tę kwotę na lotnisku?

Moglibyśmy od nowa wybudować drogę startową, nowy terminal, moglibyśmy poprawić większość elementów infrastruktury. My i tak to robimy, ale, jak łatwo sobie wyobrazić, robimy to z większym wysiłkiem i wolniej. Dzięki temu nasza konkurencja ma ułatwione zadanie, ponieważ nie ma tego typu ciężaru. I gdybyśmy mieli tych 70 milionów, oferta poznańskiego lotniska byłaby większa, moglibyśmy powiększyć strefy komercyjne, przestrzenie dla pasażerów, mielibyśmy więcej destynacji. Poprawilibyśmy elementy nawigacji,

żeby samoloty mogły lądować w trudnych warunkach. I wiele innych. Pragnę podkreślić, że to lotnisko było tu zawsze, zawsze funkcjonowało, a ludzie się wprowadzali doskonale o tym wiedząc. Oczywiście nie wszyscy, bo niektórzy mieszkają w sąsiedztwie od dziada pradziada, ale to zupełnie inna sytuacja. Mam na myśli osoby napływowe. Dlatego tak bardzo nie zgadzamy się z wyrokami, które zapadają na podstawie opinii biegłych, którzy mają podobne podejście do nas, jak do lotniska w Krzesinach. To absurd.

Nie przeszło Panu kiedyś przez myśl, żeby przenieść lotnisko w inne miejsce?

Kiedyś całkiem poważnie to rozważano. Pierwszą analizę przeprowadziliśmy, kiedy nie była jeszcze wiadoma skala odszkodowań. Niestety, nowe lotnisko to ogromne wyzwanie logistyczne. Koszt samego lotniska to jedna sprawa, ale dużo większe nakłady związane są z całym systemem, a więc mediami, korytarzem powietrznym, systemem nawigacyjnym. Są to ogromne inwestycje wymagające wielu lat przygotowań. Okazało się, że jedyne dostępne wtedy lokalizacje, czyli Bednary i Krzesiny, były nietrafione i niemożliwe do zrealizowania z przyczyn prawnych i logistycznych. I tak walczyliśmy tutaj, na Ławicy.

Pan chyba lubi tę pracę.

Lubię, bardzo.

Zawsze fascynowało Pana lotnictwo?

Przedtem zarządzałem dużymi i skomplikowanymi podmiotami, m.in. Poczta Polska. Dzięki tej pracy poznałem środowisko lotnicze i wiedziałem, że są to pasjonaci i niesamowici fachowcy. Któregoś dnia, będąc dyrektorem WORDu, otrzymałem propozycję wzięcia udziału w konkursie na prezesa zarządu portu.

Pierwsza myśl?

Wielkie wyzwanie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jest to bardzo trudna praca ze względu na wiele elementów technicznych, operacyjnych, których wtedy nie znałem. Ale postanowiłem spróbować. I pewnie gdybym sobie nie radził, to po upływie trzyletniej, pierwszej kadencji, by mi podziękowano.

A jest Pan tu już trzynaście lat.

Pani mi to przypominała. Tak, to już trzynaście lat. I wcale nie było kolorowo. Mieliśmy wiele wyzwań przez te wszystkie lata. Rok 2008 – wejście do strefy Schengen, 2012 – Euro 2012, absorpcja środków unijnych w perspektywie 2006–2013. Kiedy tutaj przyszedłem nie było żadnych dokumentów, na podstawie

których mógłbym pracować, wszystko trzeba było tworzyć od podstaw. Jednocześnie musiałem zbudować zespół, zaufać osobom, które tutaj spotkałem. W 2009 roku dołączył do mnie Grzegorz Bykowski, obecnie Członek Zarządu portu. Co trzy lata jesteśmy oceniani i od tego zależy, co dalej z nami. A jak sama Pani zauważyła, lubię tę pracę i widzę ile jest jeszcze do zrobienia.

Ostatnim takim trudnym momentem była likwidacja bazy WizzAir w Poznaniu.

To było dla nas wyzwanie. Kiedy po dziesięciu latach nagle dowiadujemy się, że WizzAir rezygnuje, a decyzję otrzymujemy z dnia na dzień, to jest to sytuacja trudna. Jeśli linia lotnicza dochodzi do wniosku, że chce przesunąć swoją bazę do największego portu lotniczego w kraju, to jest to ich wybór biznesowy i ekonomiczny. WizzAir nadal jest naszym partnerem, szanujemy ich decyzję. Przy okazji chciałbym podziękować właścicielom za ogromne zrozumienie tej sytuacji i wsparcie w trudnych momentach.

Często Pan lata?

Tak, ja w ogóle lubię latać.

A kiedy ma Pan chwilę, przechadza się Pan po terminalu i sprawdza jak działa?

Bardzo często. Przyglądam się jakości obsługi, zwracam uwagę na ustawiające się kolejki. Na pewno wiele należy zrobić, żeby ten kontakt bezpośredni pasażera, choćby z naszymi służbami ochrony, był jak najlepszy. Mówię o tym, bo zdarza się, że pasażerowie mają do nas pretensje o kontrole osobiste, zastanawiają się, dlaczego akurat oni są sprawdzani. To działanie regulują procedury, które są utajnione, a gdybyśmy ich zaniechali to mogłoby się przełożyć na spadek bezpieczeństwa. Oczywiście, wszystkie czynności kontrolne powinny być robione w sposób bardzo sprawny, z poszanowaniem pasażera. A jeśli kiedykolwiek kogokolwiek dotknęła jakaś nieprzyjemna sytuacja w Poznaniu, to bardzo przepraszam.

Czego Panu życzyć?

Może szczęścia? Na pewno dobrego wykorzystywania okazji rynkowych, które się nadarzą i zrozumienia ze strony wszystkich uczestników tego biznesu, a także zaufania pasażerów. Bo przecież korzystając z naszego portu można w dobrym komforcie, krótkim czasie, dolecieć wszędzie tam, gdzie ktoś sobie wymarzył. I żeby każde myślenie o podróży zaczynało się w Poznaniu, a my zrobimy wszystko, aby ta przygoda zaczynała się i kończyła tutaj szczęśliwie. ■



CZASEM MÓWIĄ DO MNIE „PROSZĘ PANA”

Śpiewanie to Jej żywioł, którym zaraża innych. Zaczynała w swoim domu na poznańskim Piątkowie. Już wtedy miała w sobie cechy dyrygenta-lidera, bo kazała śpiewać bratu i przyjaciółce, a oni... śpiewali. Była członkiem szkolnego chóru aż w końcu założyła swój – Gospel Joy. Agnieszka „Baca” Górska-Tomaszewska niedawno otrzymała tytuł Osobowości Roku 2018.

ROZMAWIA: ANIA JASIŃSKA | ZDJĘCIA: ARCHIWUM PRYWATNE

Zdobyła Pani tytuł Osobowości Roku 2018, ale śmiało można powiedzieć, że mogłaby Pani być też Głosem Roku. Jest Pani posiadaczką bardzo głębokiego, niskiego głosu.

Agnieszka „Baca” Górka-Tomaszewska: Fakt, niski mam ten głos. Zdarza się, że mówią do mnie „proszę pana” (śmiech), chociaż zdecydowanie jestem kobietą, tylko właśnie głos stwarza takie pozory.

Taki tembr głosu pomaga w muzyce gospel?

Z tym jest różnie, ale muszę przyznać, że w większości przypadków ma więcej zalet niż wad i jednak pomaga. Jestem w stanie zaśpiewać wszystko. „Góry” również, pomimo mojego niskiego tembru. Co jednak ciekawe, jako kobieta bez problemu mogę śpiewać też partie męskie. Nie stanowi to dla mnie problemu. To dopiero jest przydatne, bo okazuje się często, że podczas prób w chórze, dziewczyny złapały już swoje partie, a panowie jeszcze nie nadążają i nie mogą się odnaleźć. Wtedy mogę wyjść na pomoc i podać im partie męskie.

Wcale nie muszę tego transponować oktawę wyżej, tylko śpiewam po prostu razem z nimi. Oni z kolei muszą się z tym oswoić, bo dla faceta to jest szok, gdy usłyszy coś takiego po raz pierwszy. Myśli sobie „ona śpiewa nisko, to dla mnie będzie średniowysoko”. Trzeba to sobie wyobrazić.

Ile oktav obejmuje Pani swoim głosem?

Obym teraz nie skłamała, ale na pewno cztery. Jeśli dobrze się rozśpiewam i nie jestem po prowadzeniu wyczerpujących warsztatów, to może mogłabym dośpiewać więcej. To na szczęście w chórze nie jest najważniejsze.

Pamięta Pani, jak do Pani życia trafiła muzyka gospel?

Dość niestandardowo, ponieważ w czasach, kiedy usłyszałam gospel, prawie nikt nie wiedział, co to jest. To była rzadkość. Chodziłam do VII LO w Poznaniu i śpiewałam w chórze – takim klasycznym. Nasz nauczyciel muzyki pewnego razu stwierdził, że zaśpiewamy sobie kawałek gospel. Nikt nie wiedział, o co chodzi, ale udało się. To był taki „old gospel”. Bardzo, ale to bardzo przypadł mi do gustu. Gdzieś to we mnie zostało i już wtedy zaczęłam szukać. Czułam, że to jest to, czego chcę. Uwielbiałam „czarną muzykę” i byłam fanką Arethy Franklin. Nie stroniłam też od klimatów bluesowych. Szukałam tego. Wyjechałam za granicę, a gdy wróciłam do Polski, nadal poszukiwałam. Usłyszałam, że do Auli UAM przyjeżdża jakiś chór gospel. Oczywiście poszłam. Okazało się, że to był zwykły chór,

który śpiewał gospel, ale klasycznie i to wciąż jeszcze nie było spełnienie moich oczekiwań. W 1997 roku mój brat był w USA. Nie wiedział, co mi kupić w prezencie. Wszedł do sklepu typu second hand z różnymi płytami, zamieszał ręką w pudle i wybrał trzy krążki, które dostałam. Jeden z nich to płyta Alvina Slaughter’a pt. „Yes”. Od tego w zasadzie wszystko się zaczęło. Mieszkaliśmy wtedy na Piątkowie, w Poznaniu, w mieszkanku na szóstym piętrze. Miałam piękną, słoneczną kuchnię i z koleżanką oraz bratem zaczęliśmy te utwory śpiewać. Już wtedy zarządziłam, że muszę śpiewać ze mną (śmiech). Najpierw razem, w domu, później na ślubie u koleżanki i tak to się rozkręcało.

Trudno rekrutuje się głosy do chóru tak specyficznego jak gospel?

Nie. Wcale nie tak źle. To jest przede wszystkim przyjemne, bo jednak, gdy ogłaszamy rekrutację, pojawia się sporo chętnych na przesłuchania. W większości są to panie. Wydaje mi się, że to bardziej leży w naszej naturze i kobiety

bardziej chcą śpiewać. Trochę nad tym ubolewamy, bo płeć piękna bardzo lubi śpiewających facetów, prawda?

Oczywiście! A w szczególności panów z niskimi głosami!

No właśnie! A widzi Pani, panowie bardzo często uciekają przed swoim talentem, jakim jest śpiew. Muszę przyznać, że samo rekrutowanie jest bardzo przyjemne, ale to, co mnie cieszy, to fakt, że coraz częściej przychodzą do nas ludzie prezentujący bardzo wysoki poziom.

Pojawiają się takie wokale, że ze zdziwienia przecieram oczy. Nie mam wcale aż tak dużo miejsc w chórze. Ogłaszamy nabór raz do roku. Od czasu do czasu ktoś od nas odejdzie z różnych przyczyn życiowych. Mam sporo ludzi, którzy śpiewają rewelacyjnie, więc przyjemnie wybiera się wspaniałych spośród wspaniałych.

Gdy pojawi się osoba, której – mówiąc grzecznie – słoń nadepnął na ucho – a wydaje mu się, że przecież wszystko nadrobi, jak Pani wtedy reaguje?

Są jeszcze inne formy, gdzie taki ktoś może wyżyć się artystycznie, na przykład warsztaty. Tam nie ma takiego przymusu, że trzeba od razu doskonale śpiewać, bo tam każdy jest mile widziany i nie ma przesłuchań. Można po prostu usiąść i przyłączyć się. Prawdą jest, że mamy niedosyt męskich głosów. Do nich trzeba mieć inne podejście, więc skorzystam z okazji i powiem: Panowie! W Gospel Joy jest miejsce dla was! Nie czekajcie i przychodźcie! Naprawdę, możecie śpiewać. Nie trzeba być od razu solistą, mistrzem świata. Wystarczy chcieć i trochę chociaż śpiewać oraz dać

FAKT, NISKI MAM
TEN GŁOS.
ZDARZA SIĘ,
ŻE MÓWIĄ DO MNIE
„PROSZĘ PANA”

się odkryć. Z chłopakami problem jest tego typu, że oni nie śpiewają w młodości, bo się boją, wstydzą, co inni o nich pomyślą, ponieważ w ich mniemaniu to może być mało męskie. Kiedy już dojrzeją do tego, że jednak bardzo by chcieli śpiewać, to mają spore braki do nadrobienia. Przyjdźcie do nas, dajcie sobie czas.

Czyli u Was nie trzeba wykazać się umiejętnością czytania nut avista?

Nie, absolutnie. My w ogóle nie śpiewamy z nut, a jeśli już się zdarza, to bardzo rzadko. Mimo wszystko, pomagamy i nawet nagrywamy te głosy dla nich. Chór gospel tym właśnie różni się od chóru klasycznego, że my śpiewamy bardziej duszą i dużo się ruszamy. Muzykę przyjmujemy na ucho, a nie na oko. Ktoś, kto śpiewał tylko w chórze klasycznym, może być zdziwiony, że nie korzystamy z nut. Po pewnym czasie jednak każdy zauważa, że to nas niesamowicie rozwija

Wracając jeszcze na moment do panów. Czy pułap rekrutacji wobec nich jest trochę niżej ustawiony niż wymagania wobec kobiet?

Wszystko zależy od momentów i czasu, kiedy robimy przesłuchania. Czasem poprzeczka jest równie wysoka, jak wobec kobiet. Jeśli jednak nie mamy kandydatów, to troszkę na początek chłopakom pofolgujemy i stwierdzamy, że doszkolimy w trakcie prób. To jednak nie oznacza, że przyjmujemy ludzi, którzy w ogóle nie potrafią śpiewać. Gdy ktoś do mnie przychodzi, określam czy w ogóle ma predyspozycje, czy coś z niego będzie, czy potrafi powtarzać dźwięki. Jeśli daje radę, to dajemy sobie trzy miesiące, żeby kandydat obył się ze wszystkim. Pierwsze trzy próby to jest totalny szok. Później następuje wdrażanie się w materiał. Po trzech miesiącach ktoś, kto już wcześniej miał do czynienia z wokalem, zna nasz repertuar i może występować na koncertach. Nie każdy musi być solistą. Później możemy zdziałać cuda.

Co z tymi cudami, które zwą się partie solowe?

Żeby zaśpiewać partię solo, trzeba mieć to coś! Wszystkie osoby, które śpiewają w Gospel Joy, robią to dobrze. Nie ma przypadków, że ktoś śpiewa źle czy średnio, jednak na solówkę, trzeba być ekstra przypadkiem. To musi być piękna barwa, umiejętność frazowania czy zdolność nietuzinkowego wykańczania dźwięków. To musi być coś, co przyprawi nas o gęsią skórę albo wycisnie łzy.

Do tego chyba również potrzebny jest pozytywny power, który towarzyszy członkom chórów gospel.

Tak! Nie ograniczamy się jednak tylko do ludzi, którzy mają pozytywną energię, bo to daje rzeczywistość możliwości pobytu w takim miejscu jak Gospel Joy, ale chodzi też o te-

go Ducha Bożego, który jest w nas i dla wielu ludzi to też może być inne doznanie na początku. Sporo ludzi przychodzi do nas po prostu ze świata: z uczelni, pracy itd. Są zduszeni, stłamszeni i ten Duch jest często złamany. Mamy dziewczynę, która przychodziła ubrana na czarno, bo tak się czuła depresyjnie i odkryła tego Ducha Bożego w zespole, bo my się modlimy, troszczymy się o siebie. Teraz jest bardzo pozytywną osobą. Jeśli ktoś jest przeciwko Bogu, to może mieć problem, żeby wejść w środowisko muzyki gospel. To się może nie udać. Jeśli jednak ktoś jest osobą poszukującą, to Gospel Joy jest dobrym miejscem.

W USA istnieją kościoły gospel i to stąd ta muzyka się wywodzi.

Dokładnie. Zaczęło się od czarnoskórych społeczności niewolniczych w XIX i XX wieku, choć wtedy to się nieco różniło od tego, co my teraz śpiewamy. Wtedy był „call response”, a grupa mu odśpiewywała. To było coś w stylu muzycznego dialogowania. Tak wyglądały te początki. Charakteryzowały się tym, że były bardzo rytmiczne, co jest swoiste dla kultury afrykańskiej. To wszystko łączyło się z chrześcijaństwem, które przyjęli w krajach (powiedzmy) cywilizowanych (trudno nazwać cywilizowanymi kraje, w których istniało niewolnictwo). To był bardzo pozytywny śpiew, bo oni odnajdywali w tym radość i wolność dzięki Bogu, dzięki temu Duchowi.

Kiedyś, gdy jeszcze nie byliście tak popularni w Poznaniu, przyszłam na wasz koncert z koleżankami. One były w szoku, że to jest chór białych ludzi. Myślały, że chodzi o typowy gospel rodem z USA.

Mieliśmy szczęście być parę razy w USA i Kanadzie. W Kanadzie trafiliśmy do takiego totalnie „czarnego kościoła”. Wcześniej bywaliśmy w kościołach mieszanych. Przyszliśmy na nabożeństwo i śpiewali tylko oni. Staliśmy sobie grupką w naszych szatach w 5–6 rzędzie i zamarliśmy, bo oni byli po prostu fantastyczni w tym, co robili. Zestresowaliśmy się. Na scenę wchodziliśmy z trzęsącymi się kolanami. Spotkaliśmy się jednak z tak gorącym przyjęciem. Oni tak samo jak Pani koleżanki, nie spodziewali się, że sobie poradzimy z czarnym repertuarem. Nawet włączali się do tego śpiewu razem z nami. Cały kościół szalał i tańczył. Zaczęli wskakiwać na scenę i nie chcieli nas wypuścić. To było dla nas wielkie przeżycie. Na koniec stwierdzili, że brakuje im słów, by wyrazić swój zachwyt.

Jak Wam się pracowało nad płytami, nad nagraniami?

To zupełnie inna praca. Zawsze też pomagały nam osoby z zewnątrz, które wносиły świeżość. Pierwsza płyta nosi tytuł „To On”. Znajduje się na niej sporo hitów, które śpiewamy do tej pory. Teraz mogę przyznać, że to był start do tego, co później się działo. Pierwsza płyta nie była tak



profesjonalna, jak późniejsze krążki. Oczywiście, pracowaliśmy nad nią ciężko, były fajne aranże, natomiast była luźniejsza. Podczas pracy nie mieliśmy tyle stresu. Kolejna płyta – „Life” – nagrywana była z Mietkiem Szcześniakiem. Ludzie, ile tam było stresu! Pamiętam, że przed samym nagraniem spać nie mogłam. Mieliśmy mnóstwo przygotowań i sporo zmian przed samym nagraniem. Czułam naprawdę ogromną odpowiedzialność, żeby się nie pomylić. Na szczęście wszystko się udało i świetna płyta nam z tego wyszła. Z kolei przy płycie „Napelniaj”, to chyba byłam najbardziej zaangażowana w produkcję, aranże robił dla nas przyjaciel z Kanady – Corey Butler i tu znalazł się też mój utwór. Przygotowania do tej płyty wspominam jako piękny czas. Ludzie spotykali się w podgrupach, żeby przygotować się wokalnie do tego przedsięwzięcia. Byli bardzo zaangażowani. Piękny czas – wszyscy przychodzili wtedy na próby, a to pewnie jest bolączka każdego chóru (śmiech).

Całkiem inaczej śpiewa się w chórze, a już czymś innym jest dyrygowanie. Skąd w Pani wzięła się ta siła lidera?

To chyba takie boże błogosławieństwo (śmiech). Dyrygowanie ma korzenie w początkach chóru. Ja nigdy nie czułam się na siłach, żeby dyrygować. Gdy zaczynałam w Gospel Joy, na początku szukałam dyrygenta, bo sama nie miałam takiego wykształcenia muzycznego. Poszukiwania trwały rok czy nawet dwa, ale w tym czasie i tak

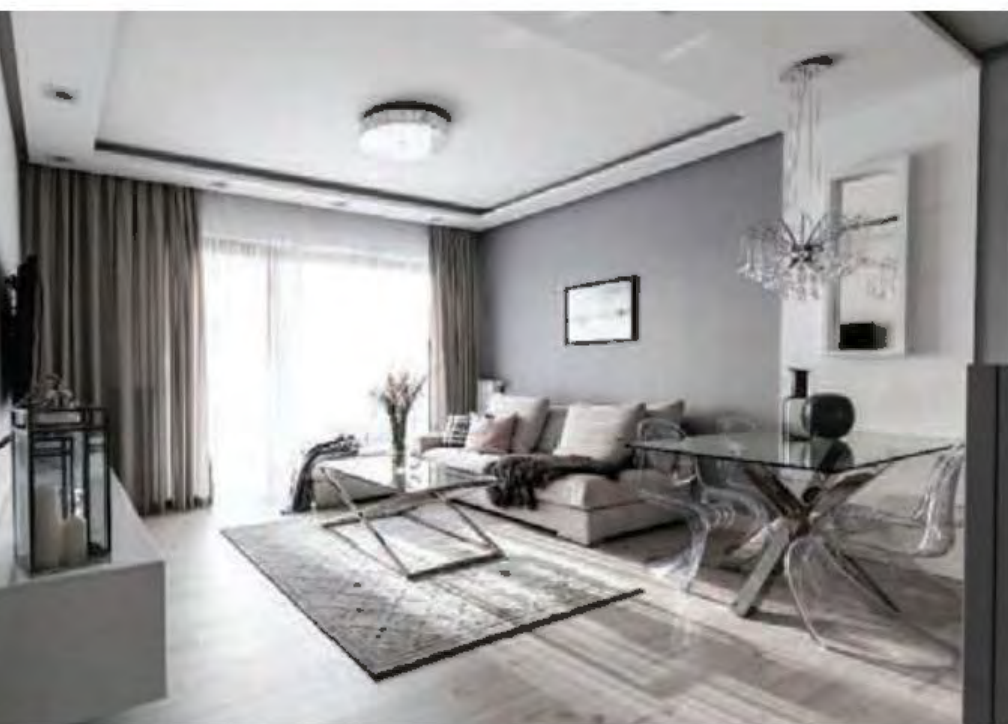
przecież prowadziłam chór: mówiłam, co śpiewamy, kiedy kto wchodzi, czy mają śpiewać głośniej, czy ciszej.

Czyli narobiłaby Pani sobie problemu, bo jeszcze trzeba by było poprowadzić dyrygenta.

Coś w tym jest (śmiech). Ja chyba tak to sobie wykombinowałam, że dyrygent będzie prowadził podczas prób, a ja to wszystko będę spinać, organizować. Myślałam, że będę kimś w stylu menagera albo prawą ręką dyrygenta, bo ucho mam dobre, wiem, jak ludzie śpiewają, jakie mają możliwości. Na jednym ze ślubów, na początku naszej działalności, było nas trzynaścioro, a ja stałam gdzieś z boku. Było niewygodnie, chórzyci czuli się niepewnie, no i w końcu wyszłam naprzeciw nich i pokazałam, co mają robić. Usłyszałam: „Baca! No nareszcie!” Żartuję sobie, że tak właśnie zostałam dyrygentem. Od tego momentu sporo jeździłam na kursy i doszkalalam się. Teraz jesteśmy chórem dojrzałym. Gdy prowadziłam Gospel Joy, nie byłam jeszcze osobą nawróconą.

Podsumowując: nie trzeba być wykształconym muzykiem, żeby śpiewać czy dyrygować, ale okazuje, że nie trzeba też być góralem, żeby zostać Bacą.

Nie, nie, chociaż brzmi to bardzo zabawnie, jak Pani mówi, bo na mojego brata wołają „Góral”. Ja góralem nie jestem. Jestem po prostu „Bacą”, co wynika wyłącznie z mojego nazwiska panieńskiego – Górską. Z górą mi nie mam nic wspólnego oprócz tego, że jeżdżę czasem na nartach (śmiech). ▮



KRÓLOWA ŚNIEGU

Początkowo myśleli o domu, ale po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw, stwierdzili, że za bardzo żyją w mieście, by tracić czas na codzienne dojazdy. Wybrali zatem przestronny apartament w jednym z nowoczesnych, 4-piętrowych bloków, który z powodzeniem pomieścił sześciu członków rodziny. Tak, sześciu, bo poza nastoletnim synem, mają trzy piękne, rasowe koty. Właściciele prowadzą własny biznes w branży kosmetycznej i lubią jasne wnętrza z odrobiną luksusu. Sprawy zawodowe pochłaniają ich bez reszty, więc urządzenie mieszkania oddali w pewne ręce – Katarzyny Barbella Aponte z Barbella Interiors.

TEKST: **DAGMARA MAROSZEK-BŹDZIUCH/ POMYŚL NA WNĘTRZE** | ZDJĘCIA: **MARCIN KOWALSKI, SMARTLAB**
PROJEKT: **KATARZYNA BARBELLA APONTE, BARBELLA INTERIORS** | STYLIZACJA: **KAMILA SZMYD**

Złożenie było jedno: glamour z delikatnym błyskiem. Zgodnie z wytycznymi, powstało wnętrze jasne, eleganckie i z odrobiną luksusu. Projektantka postawiła na połączenie szarości i bieli oraz na chrom i szkło. Całość dopełniają i zarazem ją ocieplają miękkie tekstylia: zasłony, pledy oraz poduchy.

SALON

Jest połączony z aneksem kuchennym. Aby jednak nie wszystko było na widoku, powstała wyspa z dodatkową zabudową nad blatem. Białe fronty szafek z połyskiem łagodnie odbijają wpadające światło i sprawiają, że kuchnia staje się pełna blasku. W zabudowie wyspy projektantka zaplanowała specjalną wnękę na kocie miski z jedzeniem, a nad nią znajduje się szafka na smakołyki futrzastych członków rodziny.

Obok wyspy stoi szklany stół na chromowanych, skrzyżowanych nogach, a wokół niego przezroczyste, kultowe krzesła Vernerera Pantona. Dzięki tej przezroczystości, cały jadalniany kącik staje się jakby niewidzialny. Blaskiem urzeka również kryształowy żyrandol zawieszony nad stołem.

Właściciele apartamentu uwielbiają teatr i grę światel, stąd w mieszkaniu znajdują się różne świetlne iluminacje. Podwieszany i podświetlany sufit czy listwa ledowa wokół wyspy to jedno z wielu takich dekoracji.

Ciemniejsza ściana w salonie wyłożona jest tapetą



z błyszczącymi drobinkami, która stanowi idealne tło dla jasnej, wygodnej sofy. Tuż obok szklany stolik kawowy, który nawiązuje stylem do „kolegi” z jadalni.

SYPIALNIA

W sypialni projektantka zagospodarowała każdy wolny centymetr. Oczywiście głównym meblem jest łóżko, które, oprócz właścicieli, upodobały sobie kocie osobowości. Za drzwiami znajduje się wąska szafa, której drzwi

wykończono lustrzanymi taflami, przez co pomieszczenie to wydaje się większe i jaśniejsze. Białe szafy, zaprojektowane na wymiar, z powodzeniem pomieściły całą garderobę gospodarzy. Nie mogło tutaj zabraknąć kobiecej strefy z toaletką, która stała się ulubionym miejscem pani domu.

ŁAZIENKA

Pierwotnie były dwie łazienki, jednakże praktyczniejsze okazało się połączenie ich w jedną, większą. Ciekawym rozwiązaniem jest zestawienie strefy prysznicowej z wanną. Są obok siebie, ale brak wydzielonej kabiny sprawia, że mamy wrażenie, jakby nic poza wanną nie było. Nie ogranicza ona bowiem przestrzeni. Na ścianach położono glazurę imitującą kamień. Uwielbienie właścicieli do światła jest również widoczne w tej części mieszkania. Szczególnie duże wrażenie robi ściana z trójwymiarowymi płytkami. ■

Więcej inspiracji na: www.pomyslwnetrze.pl



PLĄSAWICA

Według definicji zalecanej w Unii Europejskiej, schorzenie uznaje się w Polsce za chorobę rzadką, jeśli dotyka ono nie więcej niż 5 na 10 000 osób. Najczęściej takie choroby uwarunkowane są genetycznie, a ich przebieg jest przewlekły i ciężki.

Jedną z nich – występującą w Polsce u jednej na 10 tysięcy osób – jest choroba Huntingtona, zwana również pląsawicą, a także (dawniej) tańcem św. Wita.

Trudno ją zdiagnozować, bo wachlarz jej objawów jest dosyć szeroki. Zdarza się, że początkowo bywa mylnie rozpoznawana na przykład jako depresja czy schizofrenia.

O tym co to za choroba, co ją powoduje, jak ją rozpoznać i leczyć rozmawiam ze specjalistą neurologiem – **dr hab. n. med. Danielem Zielonką**.

TEKST I ZDJĘCIA: EWA MALARSKA

Doktorze, kilka lat temu w Ośrodku Badań Klinicznych dr Hanki Hertmanowskiej uczestniczył Pan, jako współbadacz, w badaniu klinicznym dotyczącym leku dla chorych na stwardnienie rozsiane. Ale to inna choroba neurologiczna znajduje się w centrum Pana zainteresowań i stanowi temat Pana rozprawy doktorskiej.

Daniel Zielonka: Przez lata pracy zajmowałem się całym spektrum chorób neurologicznych. Jednak moją szczególną specjalnością są choroby rzadkie. W ubiegłym roku uzyskałem tytuł doktora habilitowanego. Tematem mojego autoreferatu, tak zresztą jak i rozprawy doktorskiej, była jedna z chorób rzadkich – pląsawica, dawniej nazywana chorobą świętego Wita, a obecnie, z uwagi na urozmaicenie objawów, poza pląsawicą – chorobą Huntingtona (ang. HD – Huntington's Disease).

Co skłoniło Pana do zajęcia się właśnie tym schorzeniem?

Jak w wielu sytuacjach naukowych – zdecydował przypadek. Jeszcze jako student medycyny, od 1997 roku, zacząłem zajmować się chorymi na HD. Aby zgromadzić dane o grupie pacjentów, jeździłem do nich do domu, pobierałem krew i badałem w zuniifikowanej skali choroby Huntingtona – UHDRS, stworzonej ledwie rok wcześniej. Na podstawie

tych badań uzyskałem doktorat i wydałem pierwsze publikacje.

Jak często rozpoznawana jest choroba Huntingtona?

Występowanie tej choroby uzależnione jest od rasy, z której człowiek pochodzi. W rasie kaukaskiej (białej) choroba występuje najczęściej. Dotyka pięć do dziesięciu osób na sto tysięcy zdrowych (wolnych od tego właśnie schorzenia). W pozostałych rasach (żółtej i czarnej) pojawia się rzadziej.

Co to za choroba? Skąd się bierze?

Pląsawica jest rzadką chorobą uwarunkowaną genetycznie, dotyczącą głównie układu nerwowego. Jej przyczyną jest mutacja w genie położonym na czwartym chromosomie, powodująca wytwarzanie i gromadzenie się nieprawidłowego białka, zwanego huntingtyną, powodującego śmierć komórek nerwowych. Jest dziedziczona w sposób autosomalny dominujący.

Co to znaczy?

Najprościej mówiąc, dziedziczenie autosomalne oznacza brak związku z chromosomami płci – zachorować mogą zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zaś dominujące – że do zachorowania wystarczy,



NAJBARDZIEJ CHARAKTERYSTYCZNE SĄ OBJAWY RUCHOWE. DAWNIEJ CHOROBA TA ZWANA BYŁA TAŃCEM ŚW. WITA WŁAŚNIE Z ICH POWODU. NIEKONTROLOWANE RUCHY PRZYPOMINAJĄ TANIEC

gdy jedno z rodziców jest nosicielem wadliwego genu. W przypadku płasawicy powoduje to, że u każdej osoby, która odziedziczy mutację genetyczną, choroba się rozwine. Przy takim typie dziedziczenia choroba nie „przeskakuje pokoleń”.

Czyli jeśli dziecko chorego rodzica nie odziedziczy tego genu, to u jego dzieci on się nie pojawi?

Właśnie tak. No chyba że drugie z rodziców przekaze mu wadliwe dziedzictwo, albo będzie mieć wyjątkowego pecha, by znaleźć się w grupie osób, u których mutacja występuje po raz pierwszy.

Czy oboje rodzice muszą mieć ten zmutowany gen, aby dziecko zachorowało?

Nie. Wystarczy, że ma go jedno z rodziców.

A jaka jest szansa na odziedziczenie takiego „posutego” genu?

Dosyć duża – w przypadku chorego jednego rodzica – pięćdziesiąt procent, przy założeniu, że posiada tylko jeden zmutowany gen.

Czyli może mieć dwa takie geny? Co wtedy?

Taka sytuacja zdarza się nadzwyczaj rzadko. Opisano dotychczas kilka takich przypadków. Wówczas dziedziczenie jest w stu procentach pewne. Natomiast jeśli oboje rodzice posiadają ów gen, prawdopodobieństwo odziedziczenia go przez dziecko wynosi siedemdziesiąt pięć procent.

Czy jest jakiś sposób na to, aby zatrzymać przekazywanie tego problematycznego dziedzictwa?

Jeśli chodzi o osoby posiadające zmutowany gen, są dwa wyjścia. Pierwsze to powstrzymanie się od posiadania potomstwa. Drugie, nie dla każdego

akceptowalne etycznie, to zapłodnienie pozaustrojowe. Diagnostyka preimplantacyjna pozwala wykryć mutację. W przypadku jej obecności można zrezygnować z zagnieżdżenia takiego obciążonego zarodka.

A co z badaniami prenatalnymi? Można zrobić takie, które wykrywają chorobę Huntingtona?

Jest to możliwe, jednak to także budzi duże kontrowersje etyczne. Polskie prawodawstwo nie zezwala wykonać badania genetycznego osobie zdrowej bez jej zgody, a choroba w większości przypadków ujawnia się po trzydziestce.

Właśnie, kiedy występują pierwsze objawy?

Najczęściej między trzydziстым a pięćdziesiątym rokiem życia. Zdarza się to w osiemdziesięciu procentach przypadków. Istnieją jednak również postaci młodzieńcze, występujące przed dwudziestym rokiem życia oraz starcze, które pojawiają się po sześćdziesiątych urodzinach. Tu ciekawostka – istnieje zjawisko antycypacji, czyli pojawiania się objawów choroby w kolejnych pokoleniach w coraz młodszym wieku. Jest to zależne od liczby powtórzeń trójnukleotydu CAG w mutacji genu.

Na co zwracać uwagę, jakie dolegliwości mogą świadczyć o płasawicy?

Najbardziej charakterystyczne są objawy ruchowe. Dawniej choroba ta zwana była tańcem św. Wita właśnie z ich powodu. Niekontrolowane ruchy przypominają taniec – nazywamy je ruchami płasawicznymi.

Czy one wystarczają, aby wzbudzić podejrzenie tej choroby?

Niekoniecznie, choć stanowią ważną przesłankę. Na pewno warto pogłębić diagnostykę, jeśli oprócz nich wystąpi jeszcze kolejna specyficzna oznaka – zaburzenia funkcji poznawczych, cechujące się głównie tak zwanym otępieniem podkorowym.

Na czym ono polega?

Następuje spowolnienie przetwarzania informacji. Obrazowo ujmując – pytanie zadane pacjentowi spotka się z prawidłową odpowiedzią, jednak zostanie ona udzielona po dłuższym czasie.

Czy jeszcze coś powinno budzić niepokój?

Tak, pojawienie się zaburzeń psychicznych (bywa, że to właśnie one pojawiają się jako pierwsze), głównie zmian osobowości, depresji, drażliwości, agresji czy perseweracji.

A co to takiego?

Persewacja to uporczywe powtarzanie słów, melodii, ruchów czy czynności. Pacjenci ich doświadczający mimowolnie i bezcelowo powtarzają jakiś ruch, słowo, frazę bądź zdanie. Trochę jak w grze „pomidor” – na każde pytanie udzielają tej samej odpowiedzi.

Czy do postawienia diagnozy wystarczy wystąpienie jednej z tych przesłanek?

Aby postawić pewną diagnozę, potrzebne są trzy czynniki: obecność charakterystycznych objawów, obciążony wywiad rodzinny oraz dodatni wynik badania genetycznego.

Nie ma chorych bez historii rodzinnej?

Niesłychanie rzadko (w od dwóch do dziesięciu procent przypadków) zdarza się mutacja genu występująca jako nowa (de novo). Zwykle brak informacji o obciążeniu rodzinnym wynika z braku lub błędnej informacji o rodzicach.

Jak leczy się chorych na chorobę Huntingtona?

Choroba ta niestety nie jest uleczalna i nieuchronnie prowadzi do śmierci pacjenta, średnio około dwadzieścia jeden lat od jej rozpoznania. Dzięki częściej

stosowanej rehabilitacji i skuteczniejszemu usprawnianiu chorych, w ostatnich latach długość życia chorych zwiększa się. Zdiagnozowanego pacjenta leczymy objawowo w momencie, gdy oznaki choroby stanowią problem dla niego samego, sprawiają mu dyskomfort lub gdy taką potrzebę zgłasza jego najbliższe otoczenie. Staje się tak zwykle, gdy zaczynają występować trudności w czynnościach pielęgnacyjnych czy społeczne zachowania. Złożoność objawów, a z czasem ich progresja, powodują, że w końcowej fazie choroby pacjenci w wyniku utraty zdolności do samodzielnego funkcjonowania potrzebują całodobowej opieki – nie są również w stanie komunikować się z otoczeniem.

Medycyna jednak ciągle się rozwija, nie wierzę, że naukowcy nie szukają rozwiązania problemu. Jakie są perspektywy znalezienia na nią leku?

Na chwilę obecną do badań klinicznych wprowadzane są technologie zmierzające do wyciszenia zmutowanego genu. Ich celem jest wymuszenie zaprzestania produkcji przez niego szkodliwego białka. Poza tym, badacze ciągle pracują nad farmaceutykami zdolnymi do zahamowania i opóźniania wystąpienia objawów choroby Huntingtona. ■

NEUROLOGICZNY NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ CENTRUM LECZENIA SM OŚRODEK BADAŃ KLINICZNYCH IM. DR N. MED. HANKI HERTMANOWSKIEJ

62-064 Plewiśka, ul. Fabianowska 40

tel.: 61 863 00 68 506 444 900

www.hertmanowska.pl neurologiczny.nzoz@gmail.com



ZMARSZCZKI LEVEL-UP

W poprzednim tekście pisałyśmy o płytkich zmarszczkach, z którymi poradzić możemy sobie zarówno w domowych warunkach, jak i w gabinecie.

Głębsze zmarszczki to zdecydowanie poważniejsze wyzwanie.

Chciecie poznać nasze metody na poradzenie sobie z nim?

TEKST: MAGDALENA DARASZKIEWICZ, KATARZYNA SMOLAK, ESTHETIC – STUDIO KOSMETYKI PROFESJONALNEJ



Zmarszczki są oznaką dojrzałości, bo upływający czas wpływa niekorzystnie na napięcie skóry, jej jędrność oraz zdolność do regeneracji. Zmarszczki to również zapis naszych życiowych doświadczeń, tego, jak często się śmiejemy, dziwimy, płaczemy. Ich pojawianie się nie powinno nas przygnębiać, bo to proces naturalny i w znacznym stopniu uwarunkowany genetycznie. Nie ma jednak wskazań, aby tym argumentem tłumaczyć brak troski o swoją skórę i niehigieniczny tryb życia. Dlatego śpijmy, ruszajmy się i pielęgnujmy skórę kosmetykami nawilżającymi, z fotoprotekcją oraz jak najbardziej naturalnymi. Zresztą możemy się pogodzić, zajrzeć do gabinetu kosmetycznego lub spotkać z lekarzem medycyny estetycznej, aby dowiedzieć się, co proponują profesjonaliści.

ZMARSZCZKI NA CZOLE

Najczęściej występującymi zmarszczkami głębokimi na czole, niezależnie od wieku, są tzw. łwie zmarszczki, wynikające z mimiki twarzy. Są to jedna, dwie, a nawet trzy pionowe bruzdy między oczami, będące efektem marszczenia czoła. Dlaczego możemy ich nie lubić?

Ponieważ sprawiają, że wyraz naszej twarzy wydaje się złowrogi, nieprzyjemny. Jak można poradzić sobie z tym problemem?

Medycyna estetyczna poleca w tym zakresie botoks blokujący przewodnictwo mięśniowo-nerwowe, czyli mówiąc wprost – unieruchamiający tę część czoła. Drugą metodą jest wypełnienie zmarszczki kwasem hialuronowym, który da przyjemny i naturalny efekt, ale nie wyeliminuje problemu, tylko na pewien czas go zminimalizuje. Nici liftingujące zaś są rozwiązaniem działającym i chemicznie, i mechanicznie. Wygładzają bowiem nierówności i napinają skórę, ale dodatkowo, dzięki zastosowanemu polidiosanonie, stymulują proces powstawania naturalnego kwasu hialuronowego i elastyny.

ZMARSZCZKI WOKÓŁ OCZU

To zazwyczaj najszybciej pojawiające się zmarszczki, głównie dlatego, że w okolicach oczu skóra jest bardzo cienka, a jednocześnie pod nią nie kryje się tkanka tłuszczowa. Dodatkowo na elastyczność skóry w okolicach oczu niekorzystnie działają mięśnie okrężne oka, uruchamiane przy mrużeniu czy śmianiu się. Właśnie dlatego



pielęgnacja to podstawa. Demakijaż, nawilżanie i fotoprotekcja są tu kluczowe. Jak jeszcze możemy sobie pomóc?

Poza wspomnianym wcześniej kwasem hialuronowym można sięgnąć po mezoterapię igłową, która poprzez mikronakłuwanie aplikuje substancje aktywne do głębszych warstw skóry. Coraz częściej mówi się również o falach radiowych łagodzących obrzęki, niwelujących cienie pod oczami i spływających zmarszczki.

ZMARSZCZKI WOKÓŁ UST

Zacznijmy od bruzd nosowo-wargowych, które stanowią podłużne linie ciągnące się od skrzydełek nosa do kącików ust i uwidaczniają się przede wszystkim podczas uśmiechu. Na ich powstawanie ma wpływ wynikająca z procesów starzenia wiotkość skóry, a w konsekwencji opadanie policzków. Podobnie jak w przypadku łwiej zmarszczki, również tutaj dobrze sprawdzi się kwas hialuronowy, nici liftingujące, a także mikronakłuwanie skóry mobilizujące ją

MÓWI SIĘ RÓWNIEŻ O FALACH RADIOWYCH, KTÓRE ŁAGODZĄ OBRZĘKI, NIWELUJĄ CIENIE POD OCZAMI I SPŁYCAJĄ ZMARSZCZKI

do autoregeneracji. Warto zastanowić się również nad zabiegiem laserem frakcyjnym, który poprzez kontrolowane uszkodzenie naskórka i obszarów skóry właściwej wiązkami światła, stymuluje naturalny proces gojenia, a przez to namnażania nowych, zdrowych komórek.

Wśród często występujących typów zmarszczek są również tzw. zmarszczki palacza, czyli pionowe bruzdy promieniście ułożone wokół ust oraz linie marionetki – zmarszczki biegnące od kącików ust w kierunku brody. Na oba typy zmarszczek

dobrze zadziałają kwas hialuronowy, nici liftingujące i dermapen, czyli mikronakłuwanie.

Zanim zdecydujecie się na któryś z omawianych zabiegów, warto pamiętać o zasadzie gradacji. Zacznij od czegoś lżejszego, mniej inwazyjnego, a w razie potrzeby sięgaj po cięższe działa przeciwzmarszczkowej artylerii. To zdecydowanie bezpieczniejsze i rozsądniejsze rozwiązanie. ■

BORELIOZA – GROŻNA CHOROBA NASZYCH CZASÓW

Borelioza to choroba, na którą może zachorować każdy i, co najważniejsze, można ją tylko zaleczyć, a nie wyleczyć do końca. O tym jakie są symptomy choroby i jak ją skutecznie leczyć opowiada **Michał Szebestik**, założyciel i zarazem Prezes Fundacji Akademia Boreliozy.

ROZMAWIA: **MARTA JÓZEFCAK** | ZDJĘCIA: **ARCHIWUM**



Co skłoniło Pana do założenia Fundacji Akademia Boreliozy?

Michał Szebestik: Sam doświadczyłem choroby, jaką jest borelioza. Zauważyłem, że lekarze dobierali złe metody leczenia, stosowali słabą diagnostykę. Stwierdziłem, że podobnie może być u innych i postanowiłem podzielić się swoimi doświadczeniami. Na począt-

ku powstała na FB mała grupa wsparcia i mój kanał na YouTube, gdzie przygotowałem cykl filmów informacyjnych i wywiadów z osobami chorymi. Z czasem do grupy wsparcia dołączały nowe osoby szukające pomocy. W tej chwili mój kanał ma prawie pół miliona wyświetleń, a grupa liczy ponad 10 000 osób i codziennie przybywa kilku nowych członków.

Czym zajmuje się Fundacja?

W Fundacji zajmujemy się edukacją. Staramy się uświadamiać, jak niebezpieczna jest borelioza, szczególnie, że może ona imitować wiele innych chorób. Obecny system prawny oraz procedury medyczne w Polsce nie pozwalają na skuteczne leczenie i diagnostykę. Chorzy, w wielu przypadkach, muszą sami wykonywać badania i wdrażać system leczenia, który jest kosztowny. Dlatego pomagamy sfinansować diagnostykę boreliozy i chorób odkleszczowych oraz wskazujemy miejsca, w których jest ona przeprowadzana w sposób odpowiedni.

Czy to oznacza, że lekarze nie mają wystarczającej wiedzy jak leczyć boreliozę?

Podstawowy błąd lekarzy zaczyna się na etapie rozpoznania choroby. Boreliozę wielu identyfikuje jako pojedynczą bakterię i pojedynczą jednostkę chorobową, którą można wyleczyć jednym antybiotykiem. Absolutnie tak nie jest. Borelioza to multi infekcja, w której skład, obok bakterii *Borrelia*, wchodzi kilka innych patogenów, jak *Mykoplasma*, *Chlamydia pneumoniae*, *Toksoplazmoza*, *Anaplasma*, *Bartonella* i *Babesia*, a także pasożyty i wirusy. W Polsce nie ma wypracowanego programu leczenia wspomnianych patogenów. Borelioza jest wielkim imitatorem takich chorób jak reumatologiczne zapalenie stawów, stwardnienie zanikowe boczne, neuropatie, stwardnienie rozsiane, nerwice, depresja oraz inne choroby autoimmunologiczne. Mogą to być symptomy boreliozy i jej zdiagnozowanie może prowadzić do całkowitego pozbycia się objawów.

Z boreliozą kojarzony jest rumień. Na jakie jeszcze objawy powinniśmy zwrócić uwagę?

Na wstępie warto powiedzieć, że zdecydowana większość Polaków nie kojarzy ugryzienia przez kleszcza, a choruje na boreliozę. Rumień nadal jest uważany za główny objaw boreliozy, a występuje tylko w 30% przypadków. Brak rumienia nie świadczy o braku choroby. Warto zwrócić uwagę na powtarzające się symptomy – zmęczenie, gorączkę, wędrujące bóle mięśniowe, bóle głowy czy objawy grypopodobne. Często identyfikujemy je jako efekt przepracowania i przemęczenia. Jeśli powtarzają się w małych odstępach czasu, trzeba się im bliżej przyjrzeć. W boreliozie im dłużej leczymy się na niewłaściwą jednostkę chorobową, tym większe jest zagrożenie dla naszego życia i zdrowia. Zachęcam do wypełnienia ankiety doktora Richarda Horowitza dostępnej na naszym portalu www.akademia-boreliozy.pl. Jest to test prawdopodobieństwa nosicielstwa choroby odkleszczowej, który oczywiście nie zastępuje pogłębionej diagnostyki i konsultacji lekarskiej. Jego

wynik jest pogładową formą i może przybliżyć zainteresowanych do odpowiedzi na kluczowe pytanie – co mi jest? Finalnie wszystkie wyniki oraz objawy musi ocenić właściwy lekarz specjalizujący się w chorobach odkleszczowych.

Czy są skuteczne metody ochrony przed boreliozą?

Nie ma jednej skutecznej metody. Istnieją repelenty, które warto stosować. Idąc do lasu, należy pamiętać, aby ubrać wysokie buty i jasne ubranie. Warto pamiętać, że dzieci są narażone na spotkanie z kleszczem na przedszkolnych placach zabaw czy piaskownicach, w miejscach, gdzie rośnie wysoka trawa. Dla mnie najlepszym sposobem na ochronę przed boreliozą są dokładne oględziny całego ciała.

Jak postępować po ugryzieniu przez kleszcza?

Warto, aby każdy miał w domu „lasso” do wyciągania kleszcza. Można je kupić w każdej aptece. Kleszcza należy złapać między odwłokiem a głową i delikatnie wyciągnąć. Ważne, aby nie oderwać odwłoku od głowy. Pamiętajmy – nie smarujemy kleszcza tłustymi preparatami. Zabieg ten powoduje „wymioty” kleszcza i zwiększa ryzyko zachorowania. Warto zastosować też profilaktykę. Należy udać się do lekarza i poprosić o zapisanie antybiotyku. Jeśli odmówi, możemy poprosić o oświadczenie, w którym stwierdza, że pacjent nie wymaga podania antybiotyku. Jeśli choroba się rozwinie, na tej podstawie będziemy mogli rościć sobie prawo do zadośćuczynienia. Coraz częściej lekarze specjaliści zajmujący się chorobami odkleszczowymi sięgają po terapie ziołowe i warto o nie pytać, gdyż dostrzegana jest ich wartość przy długofalowym radzeniu sobie z tymi infekcjami.

Czy kleszcz jest jedynym nosicielem boreliozy?

Kleszcz jest jednym z rezerwuarów boreliozy, a chorobę mogą przenosić też pluskwy, muchy, meszki i komary. Warto także zwrócić uwagę na nimfy kleszczy, które są bardzo małe, a są równie niebezpieczne, jak dorosły kleszcz. Wraz ze zmieniającym się klimatem, zmieniają się też zachowania owadów. Ich aktywność wzrasta. To sprawia, że na zachorowanie jesteśmy narażeni praktycznie cały czas. Bądźmy więc czujni. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się coś zdarzyć. ■

AKADEMIA BORELIOZY SP. Z O.O.

ul. Kaliska 22, 63-460 Kotowiecko
e-mail: kontakt@akademia-boreliozy.pl
www.akademia-boreliozy.pl



KUCHARZ-ORKIESTRA

O ludziach, którzy potrafią zrobić wiele, mówi się, że znają się na wszystkim i na niczym, ale kiedy używamy określenia człowiek-orkiestra już wiemy, że chodzi o osobowość, która swoimi różnorodnymi umiejętnościami i sukcesami wybija się ponad przeciętność. Taką postacią jest **Tomasz Zdrenka**, szef kuchni GARDENcity, kompleksu restauracyjnego na Międzynarodowych Targach Poznańskich, ale także znakomity kucharz odnoszący sukcesy na najbardziej prestiżowych konkursach kulinarnych.

ROZMAWIA: JULIUSZ PODOLSKI | ZDJĘCIA: MTP



Zacznę trochę nietypowo, bo od końca, czyli kolacji degustacyjnej, która odbyła się kilka dni temu – „Bałkańscy i Poznańscy Kucharze Razem. Twoje danie, przygotowane z Patrykiem Dziamskim, mocno się wyróżniło. Zupa była wyśmienita, bardzo bałkańska, ale urzekła również formą. Widać tu było elementy dekoracji, które kojarzą się z Tobą i daniami, jakie przygotowywałeś na konkursy, ale także z Dominikiem Brodziakiem, Twoim mistrzem. W tym daniu wszystko się spięło: smak, forma, tekstury. Czy to jest ideał, do którego trzeba dążyć?
Tomasz Zdrenka: Najważniejszy jest smak, dlatego staraliśmy się, by był idealny, najbardziej bałkański w naszym

wyobrażeniu. Później dopiero skupiliśmy się na tym, żeby jadły też oczy. Przygotowując się do konkursów u Dominika, nauczyłem się kulinarniej sztuki, czyli wykonywania małych elementów, żeby były misterne i kolorowe. W tym daniu odpowiadałem za... oczy. Moim zdaniem zrobiliśmy danie, które dąży do tego ideału. Był smak, była chrupkość, był aksamit, było wiele technik.

Czy Dominik Brodziak jest Twoim kulinarnym guru?

Wszystko, czego się nauczyłem, zawdzięczam Jemu. To On ukierunkował moją karierę. Może to powiedzenie nie jest zbyt eleganckie, ale bardzo pasujące do moich relacji z mistrzem: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Wiedza i osiągnięcia kulinarne to niewątpliwie wpływ i czas, jaki poświęcił mi Dominik. Zresztą nie tylko mnie. Kilku z nas przecież doprowadził do sukcesów w konkursach kulinarnych. Potem wyfrunęliśmy z gniazda i każdy jest doceniany. Jakub Walczak jest szefem kuchni w Bazarze 1838, ja w GARDENcity, inni też na odpowiedzialnych stanowiskach. Na pewno jest ojcem sukcesu wielu kucharzy w Poznaniu. Myślę, że sam Dominik cieszy się z tego, że spod jego skrzydeł wyszło tylu fachowców, że dodam jeszcze Tomka Puroła, Roberta Echausta czy Bartosza Budzyńskiego.

Jednym z kamieni milowych w Twoim życiu był Kulinaryny Puchar Polski. Czym jest dla kucharza sięgnięcie po to trofeum?

Zdobyłem go wraz z Jakubem Walczakiem. Jeżeli jest się młodym, ambitnym kucharzem i chce się zdobywać w tym zawodzie kolejne szczyty wtajemniczenia, to konkurs jest idealną szansą na realizację swoich wymarzonych celów. Można się wykazać, sprawdzić, coś sobie i innym udowodnić, ale przede wszystkim czas i nauka, które wkłada się w przygotowanie, są wspaniałą bazą dla rozwoju i całej zawodowej kariery. To także budowanie własnego CV. Gdyby nie konkursy i sukcesy, to nie wiem, gdzie bym teraz był. Myślę, że obecny pracodawca – Międzynarodowe Targi Poznańskie – zauważył je, dając mi szansę na poprowadzenie wielkiego projektu GARDENcity. Widzieli na własne oczy, bo przecież KPP odbywa się na Targach, że do wszystkiego, co robię, podchodzę ambitnie i bez taryfy ulgowej. A tych wyzwań było sporo, najpierw zwycięstwo w KPP, potem prestiżowy triumf w Martelu. W kolejnym konkursie już sam się broniłem z innym partnerem, bo Kuba zrezygnował, zdobywając drugie miejsce i przegrywając tylko o 4 punkty.

Mając takie sukcesy, wiele restauracji pewnie ustawiło się w kolejkę po Ciebie? Ty jednak wybrałeś bardzo specyficzne miejsce, jakim jest GARDENcity.

To prawdziwy kulinarny kombinat, który w okresie targów bardziej produkuje, a nie gotuje, tak wiele jedzenia trzeba przygotować.

Moja przygoda z Targami zaczęła się od małych rzeczy. Kiedy pracowałem w Restaurant Enjoy, obsługiwałem najważniejszych gości na MTP w strefach VIP – ministrów, premierów. Wszystko zaczęło się od wyjazdu do Hanoweru na targi, żeby zrobić catering dla ministerstwa i zerwać z tradycją słonych paluszków i kabanosów. Przygotowaliśmy tam restauracyjne zakąski, wprowadziliśmy lunchy, sushi, tak żeby było ładnie, smacznie i żeby podnieść poziom. Pani Katarzyna Laskowska, która nadal ze mną pracuje, zobaczyła, jak to wyszło i podchwyciła temat. Hanowerski sukces przenieśliśmy na MTP. Strefy się rozwijały, coraz bardziej powiększały. Zaczęło się od grup 40-osobowych, by dojść do kilkuset osób na jednej imprezie. Wciąż jednak pracowałem w Enjoy. Mój czas wolny zaczął się kurczyć: praca etatowa w restauracji, konkursy i praca na Targach, szkolenia, bo trzeba podnosić swoje umiejętności. Trzeba było podjąć zdecydowaną decyzję, bo ja byłem ciągle w pracy.

No i narodził się pomysł na GARDENcity.

Tak. Targi potrzebowały takiego miejsca, gdzie w godnych warunkach, nie tylko w strefach VIP, można przyjąć targowych gości, ale także tych z oficjalnych rządowych delegacji z Polski i zagranicy. W pawilonie 15 była kiedyś restauracja, ale nie spełniała już oczekiwań, no i sam obiekt nadawał się od remontu. Suma zdarzeń i dobrych inwestycji zaowocowała GARDENcity, obiektem gastronomicznym z czterema poziomami restauracji. Podpisałem umowę z MTP i założyłem działalność gospodarczą, stając się szefem kuchni, ale i przedsiębiorcą. Zatrudniłem kucharzy, serwis i ruszyliśmy z nowym projektem.

Nie jesteś tutaj sam w pracy, masz bardzo bliską Ci osobę.

Tak, pracuję z narzeczoną. Bardzo sobie to chwale. Pytają się, jak udaje nam się wspólnie pracować i żyć, ponieważ wielu nie potrafi pogodzić tych dwóch rzeczy. My jednak świetnie się dogadujemy, pomagamy sobie i wspieramy się. Madzia jest kierownikiem zmiany GARDENcity.

Jesteś zatem kucharzem, szefem kuchni, szefem firmy czy wszystkim po trochu?

Czasami sam się zastanawiam. Jeżeli ma się pod sobą: Sałę Ziemi, Oregano and wine, Saffron a`la carte, Sałę Vanilla, do tego są mniejsze trzy strefy VIP rozrzucone po halach, mamy cateringi na stoiskach, bankiety w pawilonach, to nie ma wyjścia, jestem wszystkim



po trochu, ale muszę jednak mocną ręką spiąć całość, by to wszystko cykało jak przysłowiowy szwajcarski zegarek. Doszliśmy do tego w ciągu dwóch lat, krok po kroku, od małych wyzwań – na początek stolówki pracowniczej, a potem coraz więcej, coraz więcej, aż do obecnego momentu, kiedy jest to już poważne przedsiębiorstwo, obsługujące cateringi nawet do 2 tysięcy osób.

A mając to wszystko na głowie, udaje Ci się pomieścić w garnkach?

Staram się to robić, bo to kocham i nie chcę się zamknąć tylko w biurze nad papierami. Czasami śmieję się ze mnie i mówią na mnie księgowy, ale jestem młodym człowiekiem, mam trzydzieści lat z groszem, i nie chcę zapomnieć, że jestem kucharzem. W każdej wolnej chwili zakładam bluzę, staję z chłopakami na kuchni, gotuję, wydaję cateringi. Mam bardzo mocną ekipę, z moimi zastępcami, szefami de partie, którzy radzą sobie bardzo dobrze, jak mnie nie ma na kuchni czy w pracy.

To chyba najcenniejsze dla szefa kuchni, żeby zmontować zespół, na którym można polegać i ufać?

Dobry, zgrany, przeszkolony zespół to skarb, a ja taki mam. Wszyscy zdobywaliśmy razem wiedzę, jak radzić sobie z wydawaniem à la carte, mając duży event do przygotowania i wizytę ministra na lunchu w tym samym momencie.

Jak się tworzy taki zespół?

Dużo ludzi się tu przewinęło, bardzo dużo. Nie każdy nadaje się do pracy np. przy cateringu. Kiedy wreszcie udało mi się dobrać odpowiedni trzon, podzieliłem zespół na sekcje: fine diningową, cateringową, kuchnię zimną i tzw. karczmową obsługującą pizzę, zapiekanki. Każdy znajduje miejsce dla siebie. Przy pracy wspierają nas praktykanci oraz spora, wyselekcjonowana grupa kucharzy na zlecenia. Bez nich trudno byłoby ogarnąć wszystkie zadania podczas targów, a szczególnie tych sztandarowych jak Budma. Na stałe zatrudniam 15 kucharzy plus 30 na zlecenia. Czasami mam 50, a nawet 60 osób na zmianie. A na Targach nie jest najważniejsze gotowanie, ale logistyka.

W Saffron a`la carte serwujesz w czasie targów *dania à la carte*. Co proponujesz swoim gościom?

Staram się być blisko kuchni polskiej i regionalnej. Naszą specjalnością jest kaczką, która nawet w czasie zmiany karty pozostaje. Jest konfitowana.

Wróćmy jeszcze na chwilę do tego kulinarnego kombinatu. Jakie ilości produktów przerabiacie?

Np. pół tony ziemniaków w tydzień, 800 kg fileta drobiowego przez miesiąc... Mam panów, którzy przygotowują mięsa przed targami. Potrafią zrobić 3 tysiące porcji na jedne targi. Podczas szczytu NATO robiliśmy catering na lotnisku, w Krzesinach. Przez dwa tygodnie wydawaliśmy ponad 1,5 tys. posiłków dziennie – śniadania, obiady i kolacje.

Odejdźmy od produkcji i wróćmy do misternej roboty, z której wszyscy Cię znamy. Chyba ważnym momentem było dla Ciebie, kiedy zostałeś zaproszony do grona Poznańskich Kucharzy Razem.

To ważne, ale ta misterna robota to także Targi. Tam przygotowuję ważne kolacje czy przyjęcia dla prezydentów, ministrów, premierów. Tu także jest wielkie pole do popisu. Szefuję kuchni, przygotowuję menu, wychodzę do gości, opowiadam o daniach. Robię to, co kocham i co robiłem, kiedy gotowałem u boku Dominika Brodziaka. Cieszę się oczywiście, że stałem się jednym z Poznańskich Kucharzy Razem. Tam nie tylko mogę pogotować „odjechane” rzeczy, ale także spotkać ciekawych ludzi, pogadać z kolegami, z którymi nie mam wielu okazji na bliski kontakt towarzyski.

Jesteś osobą, która ciekawa jest różnej kuchni.

Poznałem Cię kiedyś od nietypowej strony. Jadłem Twoje sushi i to takie zawodowe.

Sushi bardzo mnie ciekawiło od zawsze. Chciałem się tego nauczyć. Zaczynając swoją karierę, poznawałem jak najwięcej. Zatrudniłem się w pierwszej restauracji sushi w Poznaniu w Sushi Sekai. Pracowałem tam przez pewien czas, chłonąc wszelkie tajniki kuchni japońskiej i sztuki robienia sushi, by zostać pełnoprawnym sushi masterem. Dopiero po sushi trafiłem do Dominika, ale jak tylko mogę, to na różne eventy wstawiam sushi, robię pokazy z degustacją.

Jesteś sushi masterem, a pizzaioło?

No i tu jest gorzej. Mam prywatnie piec mobilny opalany drewnem, gdzie można piec pizzę, ale i inne rzeczy jak: ryby, cebularza, a nawet mięso. Do kręcenia pizzy jakoś się nie pałę i zawsze proszę o pomoc fachowców.

W KAŻDEJ WOLNEJ
CHWILI ZAKŁADAM
BLUZĘ, STAJĘ
Z CHŁOPAKAMI NA
KUCHNI, GOTUJĘ,
WYDAJĘ CATERINGI

Twoja ulubiona kuchnia?

Chyba jednak francuska, ale coraz większe ciągotki mam w stronę kuchni polskiej, takiej z nowoczesnymi akcentami. Ostatnio bardzo też pokochałem jagnięcinę. Staram się ją podawać na różne sposoby. Głównie jednak comber, żeby był w środku różowy, soczysty. Dumny jestem z naszej kaczki konfitowanej. Bardzo lubię tę technikę. Konfituję także boczki i inne mięsa. No i oczywiście pulled porki, które podbiły głównie street foodowe jedzenie. A to nie jest prosta rzecz, jak wielu się wydaje. Dobre szarpane mięso wymaga wielu umiejętności zdobywanych przez lata w kuchni.

A tak już na zakończenie... sięgniemy do początków. Czy należysz do tych kucharzy, którzy nauczyli się gotować od mamy lub babci, czy do tych, którzy robią z tego tylko dobry PR?

Ja jestem z tych, którzy od dziecka chcieli być kucharzami. I gotowałem autentycznie z mamą. Mając już sześć lat, urzędowałem z nią i „specjalizowałem się” w cukiernictwie, bo było to najskrytsze marzenie. Piekłem bardzo dobre biszkopty, placki domowe, babki. Przyjeżdżały do nas ciotki, wujowie specjalnie na moje wypieki. Kiedy jednak przyszedł czas na wybór drogi, cukiernia była dla mnie mało interesująca, bo to nie były jeszcze czasy takich deserów jak Pawła Mieszały, tylko serników i placków z blach. Wybrałem klasę kucharzką w szkole gastronomicznej w Pile i tak zaczęła się moja przygoda z gotowaniem. ■

ZROZUMIEĆ PILATES



Poprawia kondycję, wzmacnia mięśnie bez ich nadmiernego rozbudowania, odciąża kręgosłup, poprawia postawę, uelastycznia ciało, obniża poziom stresu. To nie jest opis kolejnego cudownego leku tylko zbawienne skutki pilatesu. A jeśli korzystać z tej formy aktywności fizycznej to tylko pod okiem fachowców, którymi niewątpliwie są dziewczyny z PilatesRoom. To studio, o którym marzyła jego właścicielka, **Weronika Ratkowska**, nauczycielka pilates, która jak w nic innego – wierzy w jakość. Przeszła długą drogę przez wiele szkół pilatesu: w Londynie, Berlinie, była w Finlandii i w Nowym Jorku, kończąc edukację pod okiem np. Alycea Ungaro. Dziś to ona jest ogromnym wsparciem dla wielu poznaniaków, pomagając im zrozumieć siebie.

ROZMAWIA: **AGNIESZKA MARKIEWICZ** | ZDJĘCIA: **ARCHIWUM PILATESROOM**

Do studia pilates na Tylnym Chwaliszewie 25 pierwszy raz trafiłam w styczniu, kiedy z nowym rokiem postanowiłam, że uporam się z bólem pleców. Zaciągnęła mnie koleżanka z pracy, mówiąc: „Zobaczysz, ja po pierwszych zajęciach czułam się jakbym była 2 cm wyższa”. I poszłam. W kameralnym studio PilatesRoom panuje przyjemna, wręcz intymna atmosfera. I wszyscy dobrze się tu znają.

Zawsze myślałam, że pilates to takie proste ćwiczenia. Wymachy, skłony. Póki nie trafiłam do Ciebie.

Weronika Ratkowska: Rzeczywiście jest tak, że ludziom wydaje się, że pilates to mielenie powietrza. Podnieś rękę, podnieś nogę, każdy to potrafi. Pilates to nie jest to, co znamy np. z komercyjnej telewizji – „leżą foki” na wielkiej pilce i czekają, aż coś się zadzieje. Pilates to podróż w głąb swojego ciała.

Od razu wiedziałas, że to dyscyplina dla Ciebie?

Nie, szukałam. Moja przygoda z pilatesem zaczęła się w sumie od szkoły muzycznej. Chodziłam do niej, bo taka była rodzinna tradycja. Na studiach jako kierunek wybrałam rehabilitację, bo chciałam usprawniać ludzi poruszających się na wózkach inwalidzkich. Wtedy też po raz pierwszy zetknęłam się z fitnesssem, a po studiach wybrałam to na swój zawód. Pilates przyszedł do mnie dopiero po 15 latach pracy zawodowej – za ryzykowałam i z jedną z bardzo bliskich mi osób, które uczą pilatesu na co dzień, ruszyłam w świat, uczyć się wtedy jeszcze dość trudno na polskim rynku dostępnej metody.

Czy stało się coś szczególnego, że postawiłaś właśnie na pilates?

Momentem zwrotnym w życiu często bywa wiek i np. pojawienie się dzieci. U mnie tak było. Zatęskniłam za tym, co mają w sobie jakoś pośrednio i muzyka, i rehabilitacja: za jakością, płynnością, taką precyzją ruchu, a nie tylko ciągle ruch dla energii i dobrej zabawy. Pilates okazał się tym, gdzie to wszystko mam.

Ale samo studio PilatesRoom to w Poznaniu miejsce stosunkowo młode.

Tak, od 2014 r. w tej lokalizacji i tylko pilates. Wcześniej prowadziłam studio prozdrowotne – tak to nazywałam – na Trójkącie, z oknami na supermarket. Kiedy mówiłam do ćwiczących „Wyciągnij czubek głowy do Makro”, to wszyscy myśleli, że mówię jakimś skomplikowanym techniczno-sportowym językiem. W pewnym momencie, gdy rozbudowałam studio o potrzebne mi sprzęty: reformery, wieże, cadillac – przeniosłam je na Chwaliszewo. To też zbiegło się z moją ciążą. Ja na samej sobie widziałam, że to działa, że ludzie trenujący pilates naprawdę zmieniają się i zmieniają się ich ciała. Wyglądają inaczej, czują inaczej, czują, że ich nie boli.

Nasz świat skonstruowany jest trochę tak, że wszyscy marzymy o figurze jak z okładki czasopisma. Co zatem znaczy, że pilates działa?

Joseph Pilates, twórca tej metody, mawiał, że pilates jest dla każdego, ale nie każdy zrozumie pilates. Wyznawał zasadę, że pięć pierwszych treningów to jest ten czas, kiedy masz się rozkocharać w metodzie, w takiej formie ruchu, jaką ona właśnie jest. Doświadczyć siebie w rela-



cji ze sprzętem, w relacji z matą – i albo zostać i trenować, albo znaleźć inną formę ruchu dla siebie.

Czasem na treningach u Ciebie słyszę, że to, że czegoś nie byłam w stanie zrobić jeszcze kilka treningów temu, teraz jest możliwe, bo ciało wybudowało odpowiednie połączenia.

To jest właśnie to. Nowy etap. Nazwa metody Pilatesa – od ang. *contrology* – kontrolologia – też jest chyba nieprzypadkowa. Tak sobie myślę, że dziś żyjemy w takich czasach, gdzie wszystko musi być pod kontrolą. *Contrology* to taka umiejętność samokontroli – nie świata zewnętrznego – w której musimy uczyć się „odpuszczać”. My ludzie żyjemy w jednym wielkim napięciu. W momencie, kiedy potrafimy tak sterować ciałem, by odpuścić napięcia w przykurczonych mięśniach, które nam zniekształcają ten najwłaściwszy ruch, dopiero wtedy ciało zyskuje pewne „połączenia”, może wykonywać nowe ćwiczenia, które nagle stają się dla niego przyjemnością, a nie przeciążającym wysiłkiem. To oczywiście w jakiś sposób wytrąca nas z poczucia komfortu, ale to nie jest zabójstwo na ciele.

Czy to odpuszczanie ma także przełożenie na sferę mentalną?

Romana Kryzanowska, uczennica i kontynuatorka metody Pilatesa – zdefiniowała pilates w trzech słowach: siła, elastyczność i kontrola. I ta kontrola jest najważniejsza, bo to praca umysłu na rzecz tego, co się dzieje w naszym ciele. Moim zdaniem to holistycznie

przekłada się na nas: umieć odpuścić napięcia w głowie, w ciele, nie być niewolnikiem we własnych rękach.

Czy metodę pilates da się zrozumieć na zajęciach w komercyjnym klubie fitness?

Nie potrafię odpowiedzieć, bo od dawna nie prowadzę takich zajęć. Dla mnie pilates to jest jakość ciała w ruchu. Należę do tych, które są w stanie poświęcić wszystkie fundusze, po to by móc trenować z innymi nauczycielami. Tylko nauczyciel może mnie skorygować tak, że człowiek dostanie się do nieznanych sobie odczuć w ciele, mięśni i miejsc, które nigdy dotychczas nie pracowały. W dużej grupie na sali fitness, trochę się obawiam, że taki stan nigdy nie będzie osiągalny, też dlatego, że nasza własna strefa komfortu nas ogranicza – zostaniemy w ruchach wygodnych, wyuczonych wcześniej. W studio jest mała liczba osób, gdzie staramy się wszystkich potraktować bardzo indywidualnie. Wysyłam do nich informację zwrotną „Aśka, opuść barki”, „Bartek, lewa stopa wyżej”. Ale wtedy wiem, że trafiam w punkt z tą informacją.

Dla mnie to bardziej reżim i dyscyplina niż fun.

Pilates podkreślał często, że pilates ma być drogą do radości. Jeśli ty po ćwiczeniach wychodzisz zadowolona, cieszysz się sobą, swoim samopoczuciem, tzn. że rozumiesz pilates, że jest dla Ciebie. A jeśli wychodzisz sfrustrowana wskutek ograniczeń, które masz w ciele, bo pewnych ćwiczeń nie jesteś w stanie wykonać, bo ciężko, bo boli – to może się nie udać. Pilates jest pew-

na drogą, taką trochę bez końca. Początkowo wyginasz palec i myślisz, że bez sensu, ale potem się okazuje, że jedziesz na narty i forma jak nigdy. Pływasz jak nigdy. Podnosisz swoją sprawność w każdej innej dyscyplinie, bo pilates jest takim fundamentem formy sportowej. To taka podstawa skutecznego prawidłowego ruchu.

Jest moda teraz na pilates?

Zaczyna się. Myślę, że świat jest tak energetycznie zorganizowany, że wszystko do nas trafia w odpowiednim dla nas momencie. To, co do nas dochodzi – ma nieprzypadkowo swój właściwy moment. Nie trafiłam na pilates, mając 19 lat. Tylko teraz: kiedy umiem go poczuć, zrozumieć i przekazać dalej.

Uczyłaś się od najlepszych na świecie!

Pracuję od pewnego czasu z Lesley Logan, głównie przez Skype. Ale w moim życiu spotkałam wielu wybitnych nauczycieli. Przeszłam długą drogę przez wiele szkół pilatesu: w Londynie, Berlinie, byłam w Finlandii i w Nowym Yorku i kończąc moją edukację pod okiem np. Alycea Ungaro. Postanowiłam poszukać wielu innych nauczycieli – wspaniałe postacie, choć nie każdy jest dostępny i chętny i przemieszczać do Polski i szkolić. W taki sposób znalazłam także swoją niesamowitą najlepszą nauczycielkę – Victorię Torre-Capan.

Samantha z „Seksu w Wielki Mieście”, kultowego już serialu, namiętnie uprawiała pilates.

O widzisz. To jest dla mnie ważne, żeby w naszym kraju pokazywać, jak to wygląda zagranicą, bo w pilatesie potencjał jest ogromny. W 1999 r. pilates był tak samo popularny w Stanach jak Starbucks. My żyjemy dwie dekady później.

W studio PilatesRoom jest bardzo różnorodny zespół. Dla mnie mata z Tobą i mata z Natalią – choć niby ten sam poziom – to kompletnie dwa różne treningi.

Dobierałam nauczycieli bardzo świadomie, bo każdy, kto tu trafia, jest energetycznie inny. I ta energia do jednego nauczyciela pasuje bardzo, do innego mniej. My jako nauczyciel jesteśmy tylko kablem, który ma przewodzić informację do innych. Może być drożny lub nie. Chcę, żeby to miejsce było dostępne wielu ludziom. Bo ktoś może nie chce przychodzić do studia tylko z powodu mnie samej. A ja chcę różnych ludzi, którzy będą częścią tego miejsca. Wierzę, że różne osobowości będą budować tu swoje zdrowie, sprawność,

TWÓRCA TEJ METODY,
MAWIAŁ, ŻE PILATES
JEST DLA KAŻDEGO,
ALE NIE KAŻDY
ZROZUMIE PILATES



pracować nad pokonaniem ograniczeń w ciele. I o to chodzi – że elementy systemu pilates choć powtarzalne, z każdym nauczycielem nabierają innego kształtu. Ja sama uwielbiam pracować z różnymi nauczycielami. I myślę, że w pilatesie jest też tak, że trzeba mieć mentora, który Cię wprowadzi. Każdy da Ci coś innego. Wejdzie z Tobą na zupełnie inną górę. To pomnaża doświadczenia w ciele, które ja jako nauczyciel mogę spróbować przekazać innym, podzielić się nimi.

Kiedy będę mogła poczuć, że o pilatesie już coś wiem, coś rozumiem?

Ciało Ci powie, choć jestem przekonana, że Ci, którzy rezygnują po 6 miesiącach – oni nawet nie zbliżyli się do tej formy ruchu. Pilates po prostu nie jest dla wszystkich. To jest metoda, która uczy Ciebie wszystkiego na Twój własny temat. Trenując pilates, nabywasz wprawę i wiesz jak wrócić do formy, wiesz jak się odciążyć. Wiesz, że jeśli źle siedzisz na jednym czy drugim pośladku w biurze, to skutkuje to skurczem tu

i tu. Ale odpowiadając – patrząc na moje grupy: 2–3 lata treningu to solidny fundament. I nie trzeba iść z nim dalej. Można na tym poziomie pozostać i zawsze będziesz miała poczucie, że i tak idziesz do przodu.

To czas najwyższy na mój trening na macie! ■



TZATZIKI, OLIWA I SOUVLAKI, CZYLI CZEGO TRZEBA SPRÓBOWAĆ W GRECJI

Grecja to jeden z najpopularniejszych kierunków letnich wyjazdów. W ubiegłym roku ten kraj odwiedziło ponad milion naszych rodaków. I nie ma się czemu dziwić, bo to wprost wymarzone miejsce na wypoczynek. Kolebka europejskiej cywilizacji, oferująca nie tylko starożytne zabytki, niezapomniane widoki, piękne plaże i ciepłe morze, ale także przepyszne jedzenie. Kuchnia grecka uchodzi za jedną z najbardziej rozpoznawalnych na świecie, a dla mnie też za jedną z najsmaczniejszych.

TEKST I ZDJĘCIA: **MACIEJ GŁADYSZ**

Niezwykle aromatyczne dania, skąpane w słońcu, doprawione oliwą i tutejszymi ziołami. Któż z nas nie słyszał o sałatce greckiej, serze feta, tzatzikach, gyrosie czy baklawie, o musace, miejscowych oliwkach albo greckim winie? To kraj, który nie może się szybko znudzić, bo zawsze jest coś nowego do odkrycia, kolejny zakątek czy wyspa do poznania

i kolejne danie do skosztowania. Naszą grecką przygodę rozpoczniemy od stolicy Hellady. To idealne miejsce zarówno na krótki, weekendowy wypad, jak i dłuższe wakacje. Dzięki tanim liniom lotniczym Ateny są bliżej, niż nam się wydaje. Lot z Poznania trwa niespełna 3 godziny, czyli krócej niż obecnie zajmie nam podróż pociągiem do Gdańska, Warszawy czy Krakowa.



OBWARZANKI Z SEZAMEM

Dzień dobrze jest zacząć od śniadania, oczywiście greckiego. Chociaż trzeba przyznać, że nie jest ono zbyt obfite i z reguły spożywa się je poza domem. Jedną z najpopularniejszych przekąsek śniadaniowych są obwarzanki z sezamem zwane koulouraki. Można je kupić z ulicznych budek roztawionych praktycznie po całym mieście. Warto też spróbować się na pite, czyli ciasto filo przekładane różnego rodzaju farszem. Nazwa zależy od nadzienia, i tak na przykład te nadziewane szpinakiem nazywają się spanakopita, a serem tiropita. Do tego jeszcze kawa, oczywiście grecka, zaparzana w specjalnym tygielku zwanym briki. Teraz już możemy ruszać, by poznać Ateny. A co warto zobaczyć?

AKROPOL I HORIATIKI

Większość turystów rozpoczyna swoją przygodę z tym miastem od perły Aten i symbolu miasta, czyli Akropolu. To tu znajduje się, między innymi, Partenon – pochodząca z V wieku p.n.e. świątynia poświęcona Atenie Partenos, ale też Odeon Heroda Attyka, Teatr Dionizosa, Brama Beulego, Świątynia Nike Apteros czy Erechtejon

– świątynia poświęcona Atenie i Posejdonowi. Tu zawsze jest pełno turystów, no ale być w Atenach i nie zobaczyć Akropolu, to tak jak być w Rzymie i nie zobaczyć Colosseum czy Bazyliki św. Piotra. U podnóża Akropolu znajduje się Plaka. To najbardziej znana ateńska dzielnica. Pełna wąskich uliczek, malowniczych kamienic i urokliwych restauracji. Spacer po Placie to oczywiście dobra okazja, by na chwilę przysiąść i skosztować miejscowych specjałów, napić się greckiego wina albo – podobnie jak robią to Grecy – posiedzieć chwilę przy stoliku i porozmawiać. A może ktoś skusi się na horiatiki, wiejską sałatkę znaną u nas jako grecka, chociaż tutejsza często różni się od tej serwowanej w Polsce. Plaster cudownej fety z dodatkiem pomidorów, ogórka, papryki i czerwonej cebuli. Do tego kilka czarnych oliwek, oregano i oliwa z oliwek... Czego chcieć więcej. Osobiście polecam skosztować miejscowy przysmak, czyli souvlaki. Składają się one z okrągłego placka pita, do którego wkłada się grillowane soczyste mięso, pomidory, cebulę, tzatziki i frytki. Proste, szybkie i bardzo smaczne danie, które kupimy na każdym rogu. To taki ateński street food. Souvlaki często podawane są też na patykach, jak szaszłyki, a inne ich określenie to kalamaki. W Atenach nie można pominąć dzielnicy Monastiraki. Centralnym punktem jest plac o tej samej nazwie ze straganami, restauracjami, kafejkami i stoiskami z pamiątkami. Przy placu znajduje się XVII-wieczny kościółek Pantanassa, w którym znajdziemy efektownie malowane wnętrza, oraz pozostałość po panowaniu Turków – meczet Tzistarakis. Nieopodal możemy obejrzeć pozostałości rzymskiej Agory czy biblioteki cesarza Hadriana, a przy odrobinie szczęścia natrafimy tam na powolnie spacerujące sobie żółwie.





PLASTER CUDOWNEJ FETY
Z DODATKIEM POMIDORÓW,
OGÓRKA, PAPRYK I CZERWONEJ
CEBULI. KILKA CZARNYCH OLIVEK,
OREGANO I OLIVA Z OLIVEK...
CZEGO CHCIEĆ WIĘCEJ

VARVAKIOS AGORA

Mówi się, że pępkiem lub, jak wolą inni, sercem każdego miasta jest targ. Dla mnie to zawsze jedno z obowiązkowych miejsc do zwiedzenia, bo tu najlepiej można poznać lokalną kuchnię. Nie inaczej jest w Atenach. Varvakios Agora to miejsce, którego nie można pominąć. Znajduje się około 8-10 minut spacerkiem od placu Monastiraki. To centralny targ Aten pełen smaków, zapachów i kolorów. Istny raj dla każdego smakosza, w którym można nie tylko kupić mięso czy owoce morza, ale też skosztować lokalnych smakołyków. A czego warto spróbować? Najłatwiej powiedzieć, że wszystkiego, bo, tak jak już wspomniałem, dla mnie grecka kuchnia jest jedną z najsmaczniejszych na świecie. Jej podstawę stanowi oliwa z oliwek, pszenica i wino, a uzupełniają warzywa, ryby i owoce morza, baranina, liście winogron i zioła. Najważniejszym posiłkiem dnia jest oczywiście kolacja, chociaż uczciwiej było by powiedzieć – biesiada. Nie może się ona obyć bez mezedes, czyli przekąsek. Sery, pieczona papryka czy bakłażany, pieczywo, a także różnego rodzaju pasty, z moimi ukochanymi tzatzikami na czele. Gęsty grecki jogurt (nie żaden „typu greckiego”, który z oryginałem ma niewiele wspólnego), czosnek, ogórki... Przyznam szczerze, że za to danie dam się po prostu pokroić. Na stole nie może też zabraknąć dolmades – greckich gołąbków z mięsa i ryżu, zawijanych w liście winogron, gyrosu czy też klasyki greckiej kuchni – mousaki przygotowywanej z mięsa mielonego i bakłażanów. Do tego różne gatunki ryb, grillowane ośmiornice czy gemista – faszerowane papryki lub pomidory. Na dzienie to albo sam ryż, albo ryż z dodatkiem mięsa mielonego. Przed pieczeniem wszystko oczywiście sowicie skrapia się oliwą. Dla miłośników makaronu jest grecka zapiekanka pastitsio, a dla wielbicieli zup, na przykład revithia czy fakes. Ta pierwsza to zupa z cieciorzki z dodatkiem kilku kropel oliwy i soku z cytryny, druga to natomiast soczewica gotowana w przecierze pomidorowym.

FRAPE NA PLACU MONASTIRAKI

Najedzeni? No cóż, to dopiero początek kulinarnej uczty. Wróćmy więc na plac. Po drugiej stronie ulicy znajduje się targ z owocami i warzywami. Jest tu wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Świeże, sezonowe owoce, aromatyczne zioła (z których przecież Grecja słynie), a także fantastyczne sery i wędliny. No i niebiańskie wręcz oliwki i oliwy z oliwek – moim skromnym zdaniem jedne z najlepszych na świecie. Może właśnie dlatego każda podróż do Grecji kończy się u mnie tak samo – walizką pełną butelek oliwy, oliwek, miejscowych ziół i przypraw. Jest jeszcze jedna



rzecz, za którą jestem wdzięczny Grekom. Bo tak jak każda wyprawa do Włoch nie może obyć się bez kilku filiżanek aromatycznego espresso, tak wizyta w Grecji bez przynajmniej jednej szklanki frappe nie byłaby pełna. To idealny napój na lato dla wszystkich miłośników kafeiny. Powstaje najczęściej z kawy rozpuszczalnej i zimnej wody, dobrze razem zmiksowanych na gęstą pianę i uzupełnionych o kostki lodu. Można też dodać cukier i mleko. Ach... uwielbiam to. Tak orzeźwieni i wzmocnieni możemy ruszać na dalsze zwiedzanie Aten. A jest jeszcze dużo do zobaczenia. Z placu Monastiraki odbijamy w uliczki pełne restauracji i sklepów i kierujemy się na plac Syntagma. Sam w sobie nie jest zbyt urokliwy, ale tuż przy nim znajduje się jedno z najbardziej popularnych turystycznie miejsc – grecki parlament i Grób Nieznanego Żołnierza. Co godzinę odbywa się wprawiająca w zachwyt efektowna zmiana warty ubranych w tradycyjne uniformy evzonów, czyli członków greckiej reprezentacyjnej formacji wojskowej. Z placu Syntagma niedaleko już do Świątyni Zeusa

Olimpijskiego i dalej do Stadionu Panatejskiego, zwane go też Kalimarmaro. Pierwszy stadion w tym miejscu wybudowany został w latach 330-329 p.n.e. na wielkie igrzyska Panateńskie. Zrekonstruowano go w 1896 na I Letnie Igrzyska Olimpijskie ery nowożytnej. Takich miejsc, w których historia przeplata się z teraźniejszością, a tradycja z nowoczesnością, jest w Atenach dużo więcej i jak zwykle nie sposób tu o wszystkich powiedzieć. Trzeba po prostu przyjechać. Ot chociażby po to, by skosztować miejscowych deserów – baklawy czy słodkich pączków lukumades, wybrać się na najwyższe wzgórze Aten – Likavitos, z którego można podziwiać przepiękną panoramę miasta.

KORYNT

Jeśli chcemy zostać w Atenach dłużej, to warto zwiedzić też okolice, bo nie samym Akropolem człowiek żyje. Dla miłośników zachodów słońca i kąpeli morskich świetną opcją będzie Riwiera Ateńska. Możemy też wybrać się do oddalonego o nieco ponad 80 km Koryntu. Czeka tam na nas ruiny i piękne starożytne miasto, jedno z najważniejszych w antycznej Grecji, słynące, między innymi, z nierządu. Dodatkową atrakcją może być rejs kanałem korynckim łączącym Morze Egejskie z Morzem Jońskim. Możliwości jest wiele. Jedno jest pewne – każdy, kto choć raz rozsmakował się w Grecji, na pewno będzie chciał tu wrócić, by odkryć kolejne zakątki, poznać niezwykłą historię kraju, jego mieszkańców i kuchnię. Na koniec mam tylko jedną małą radę. Kiedy już będziecie planować wizytę w Grecji i gdy będziecie odkrywać jej uroki, to nie róbcie tego na siłę. Nie spieszcie się, by „zaliczyć” kolejne miejsce i kolejny zabytek. Siga, siga! Powoli, powoli! Poddajcie się bez reszty tej niesamowitej greckiej filozofii i sposobowi na życie. Delektujcie się i cieszcie każdą chwilą, każdym niezapomnianym widokiem i przyjemnie rozkosznym smakiem, a zobaczycie, że życie naprawdę stanie się prostsze i piękniejsze. ■





Z TRÓJKĄ DZIECI DOKOŁA ŚWIATA

W półrocznej podróży dookoła świata, **Agata i Maciej Gramaccy**, razem z trójką małych dzieci, odwiedzili czternaście krajów, przemierzając tysiące kilometrów. Po powrocie mówią wprost, że spełnili swoje podróżnicze marzenia, a jako rodzina okryli się na nowo.

ROZMAWIA: KRZYSZTOF GRZĄDZIŁSKI | ZDJĘCIA: ARCHIWUM PRYWATNE

Wielu podróżników często mówi, że powrót do domu, do własnego miejsca na Ziemi, to jedna z ważniejszych części każdej podróży. Czy też mieliście takie poczucie, kiedy wróciliście po sześciu miesiącach bycia w trasie?

Agata Gramacka: Rzeczywiście tak jest. I to były niezwykle wzruszające chwile, kiedy w naszej miejscowości, Rakowni koło Murowanej Gośliny, zostaliśmy radośnie przywitani przez rodzinę, przyjaciół i sąsiadów. Łzy same cisnęły się do oczu. Wyjechaliśmy po przygodzie, nie uciekając przed nikim ani niczym. Poczucie, że mamy do kogo i do czego wracać sprawiło, że powrót był jednym z najpiękniejszych momentów naszego podróżowania.

Czy rodzina i znajomi śledzili tę podróż na bieżąco?

Maciej Gramacki: Tak, byli wręcz inspiratorami naszego bloga „Familiy on board”, który prowadziliśmy podczas podróży. Na początku nie byliśmy przekonani czy udostępnianie w sieci informacji i zdjęć z naszej trasy to dobry pomysł. Po pierwszych publikacjach otrzymaliśmy jednak bardzo dużo pozytywnych komentarzy i prośb, by o miejscach gdzie akurat jesteśmy pisać jeszcze więcej. Teraz, po powrocie, nasza podróż opisana na blogu może zachęcać do tego typu wyjazdów. Pokazujemy rodzicom, że długie, wspólne podróżowanie z dziećmi jest możliwe i że warto to robić. Tak naprawdę sami byliśmy testerami własnego pomysłu – czy to możliwe, aby zwykła rodzina, bez sponsorów, wyruszyła w taką podróż? Nam się udało. Objechaliśmy kulę ziemską i wróciliśmy cali, pełni pozytywnych wrażeń i nowych doświadczeń, wzmocnieni jako rodzina tym, co wspólnie przeżyliśmy.

Przebyliście ponad 80 tysięcy kilometrów. Jak wyglądała Wasza trasa?

Agata: Wyruszyliśmy w kierunku Litwy, Łotwy i Estonii. Potem odwiedziliśmy Rosję, przejechaliśmy kolejną transsyberyjską trasę od Sankt Petersburga przez Moskwę aż po Bajkał. Następnie byliśmy w Chinach, kolejny miesiąc spędziliśmy w Australii, a trzy tygodnie, w tym święta Bożego Narodzenia, w Nowej Zelandii. Później wylądowaliśmy w Ameryce Południowej, gdzie zwiedziliśmy Chile, Boliwię i Peru. Pod koniec odwiedziliśmy Kuba, zachodnią i wschodnią część USA, a na sam koniec wróciliśmy do Europy, do Hiszpanii. W sumie odwiedziliśmy czternaście krajów. Co ciekawe, połączyło się nam to symbolicznie ze stuleciem „Błękitnej Czternastki” czyli środowiska harcerskiego,

w którym się poznaliśmy i dzięki któremu podróżowanie stało się nieodłączną częścią naszego życia.

Czy wśród tych wymienionych miejsc na świecie, któreś stało się szczególnie ulubione?

Agata: Każde było fascynujące. Każde państwo zachwycało w inny sposób, więc trudno wybrać to jedyne.

Maciej: Dokładnie. A najbardziej fascynujący byli ludzie, których poznawaliśmy w czasie podróży. Będąc wśród lokalnych mieszkańców, mieliśmy szansę zobaczyć jak żyją na co dzień, poznać bliżej ich codzienne sprawy i to co jest dla nich ważne. Na samym początku nie było to takie łatwe. Im dłużej jednak podróżowaliśmy, tym bardziej otwieraliśmy się na drugiego człowieka i dostrzegaliśmy to, jak ciekawi są ludzie z innych krajów i kultur. Nade wszystko urzekła nas ich gościnność i zaufanie, kiedy przyjmowali nas pod swój dach.

Nie byli zaskoczeni Waszym pomysłem na podróżowanie z trójką dzieci?

Maciej: Najbardziej zaskoczeni byli Chińczycy, którzy jeszcze do niedawna żyli w ramach systemu polityki jednego dziecka. Chyba kilkaset razy usłyszeliśmy, jak mówią w swoim języku „trzy”. Tam tak liczne rodziny nie są praktycznie spotykane, ale bywaliśmy też w liczniejszych rodzinach, np. w Nowej Zelandii zostaliśmy ugoszczeni przez rodziców z ośmiorgiem dzieci. Oni z kolei patrzyli na nas jeszcze inaczej, jakby chcieli powiedzieć „można mieć jeszcze więcej dzieci i też podróżować” (śmiech). Na ogół wszędzie byliśmy ciepło przyjmowani, a ludzie nie mieli problemu z tym, że tak naprawdę goszczą obce osoby.

Na ile była to podróż zaplanowana, a na ile spontaniczna?

Agata: Przygotowanie do wyprawy zajęło nam ponad rok. Kupiliśmy wcześniej bilety lotnicze z Rosji do Chin i z Chin do Australii, gdyż im wcześniej się kupuje, tym jest taniej. Pierwszy miesiąc trasy zaplanowaliśmy dość dokładnie, jeszcze przed samym wyjazdem. Daliśmy sobie jednak pewną swobodę, żeby móc decydować na bieżąco o tym, dokąd akurat chcemy jechać i co robić dalej. To o tyle istotne, że im człowiek dłużej jest w podróży,

tym bardziej otwiera się na nowe rzeczy i inne stają się dla niego ważne.

Maciej: Przede wszystkim, przed wyjazdem wybraliśmy wszystkie kraje, do których chcieliśmy się udać, a potrzebowaliśmy wiz. Formalności musieliśmy

NAJBARDZIEJ
FASCYNUJĄCY BYLI
LUDZIE, KTORYCH
POZNAWALIŚMY
W CZASIE PODRÓŻY



załatwić przecież jeszcze w Polsce. Pod tym względem najciekawiej było w Ameryce Południowej, gdzie jako Polacy nie potrzebujemy wiz. W trakcie podróży kupiliśmy bilet do Santiago de Chile i wylotowy z Limy. Wiedzieliśmy więc, że lecimy na ten kontynent, ale trasę i zwiedzane kraje ustalaliśmy już tam.

Mówiliście o tym, że nie mieliście sponsora. Sami musieliście więc łączyć pieniądze na tę podróż?

Maciej: To prawda. Pieniądze oczywiście przydają się i są potrzebne, ale nie są najważniejsze. Naszym sposobem było podróżowanie najprostsze, np. korzystaliśmy z couchsurfingu, czyli gościliśmy u kogoś na kanapie za darmo. Kilka noclegów udało nam się zarezerwować poprzez portal Workaway. W zamian za darmowy nocleg i wyżywienie pracowaliśmy np. na farmie, pomagaliśmy w obowiązkach domowych, jak choćby opieka nad dziećmi. Pod kątem finansowym po prostu przerzuciliśmy nasze codzienne wydatki domowe w inne miejsce.

Dzieci chodzą na dodatkowe zajęcia, są opłaty związane z eksploatacją domu i stwierdziliśmy, że pieniądze wydawane normalnie w Polsce, wydamy gdzieś indziej. Musieliśmy jedynie łączyć na transport, który był kluczowy. Sponsora nie mieliśmy, ale pomógł program 500+ i budżet udało się spiąć (śmiej).

Czy wyprawa z trójką dzieci stanowiła dla Was dodatkowe wyzwanie?

Agata: Największe było od strony edukacyjnej i logistycznej. Po pierwsze, musieliśmy spakować pięć osób, a w czasie podróży uczyliśmy nasze dzieci w ramach edukacji domowej. Szkoła wspierała nas w tym pomysł, poczynając od załatwienia formalności. Niemniej, każde z naszych dzieci jest na innym etapie edukacji – Janek ma dziesięć lat, Iga osiem, a Tomek sześć. Mieliśmy więc ze sobą dziesięć kilogramów samych materiałów szkolnych: przyborów, zestawów ćwiczeń, kredek itp. Prowadziliśmy normalne lekcje,



o ile można je nazwać normalnymi, biorąc pod uwagę rozmaite miejsca świata, w których się odbywały (śmiech).

A czy były jakieś obawy przed wyjazdem?

Maciej: Przede wszystkim obawa przed nieznanym. Kiedy żyjemy zwyczajnie, to każdy wierzy, że wieczorem położy się do ciepłego łóżka, wie, że czeka na niego prysznic, szafa pełna rzeczy. My takiego poczucia spokoju nie mieliśmy, ale nic złego się nie wydarzyło. Okazało się, że świat jest przyjazny, otwarty, zwłaszcza dla rodzin takich jak nasza. Co prawda w Chile przeżyliśmy trzęsienie ziemi, ale sił natury nie przewidzisz (śmiech). Ze strony ludzi nie doświadczyliśmy żadnego zła.

Planujecie już kolejne podróże?

Agata: Zdecydowanie! W głowie już rodzą się kolejne pomysły, a ostatnio znów wyjęliśmy globus i zaczęliśmy marzyć.

Maciej: Na pewno planujemy rodzinne wyjazdy w ramach projektu „Bracia”. Co będzie dalej, zobaczymy...

Pytam o kolejne podróże nawet bardziej w kontekście czy odczuwacie niedosyt. Pół roku w podróży to mało czy wręcz przeciwnie?

Agata: Dla nas ten czas był w sam raz. Zaplanowaliśmy go świadomie w taki sposób z kilku względów. Nasze dzieci wróciły do szkoły i skończą rok szkolny z rówieśnikami. Nie chcieliśmy ich wyrywać na cały rok, bo w szkole mają choćby swoje przyjaźnie, więc dobrze jest wrócić.

Po drugie, związane jest to z naszą pracą zawodową, bo dla Macieja pracującego w Parku Dzieje, sezon letni jest kluczowy. Niemniej jednak nasze pół roku w podróży nie oznaczało, że wyrwaliśmy się totalnie z życia. Lubimy naszą codzienność i nie chcieliśmy od niej uciec. Po prostu podążaliśmy za naszymi podróżniczymi marzeniami. ■



GŁUPIO TAK SAMEMU STAĆ NA SCENIE

Piotr Żurowski „od zawsze” związany jest z Estradą Poznańską. Absolwent Studia Sztuki Estradowej (1977), zdobył też – pierwszy w Poznaniu – dyplom piosenkarza, w Policealnym Studium Piosenkarskim (1981). Debiutował w duecie z Hanną Banaszak jako „Hanna i Piotr” (1973). Wystąpił w 3000 programów estradowych. Ma na swoim koncie ponad 100 piosenek, dwa musicale dla dzieci, kilkanaście realizacji do sztuk teatralnych, nagrania radiowe. Od 1995 r. związany ze Sceną na Piętrze Estrady Poznańskiej.

ROZMAWIA: ELŻBIETA PODOLSKA | ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT, MAREK KAMIŃSKI

Od początku towarzyszyła Panu w życiu muzyka?

Piotr Żurowski: Tak. Mama była sopranem koloraturowym, uczęszczałem do szkoły muzycznej przy ul. Zwierzynieckiej, grałem na skrzypcach i fortepianie. Za skrzypcami jednak nie przepadałem. To bardzo wymagający instrument.

A jakim był Pan dzieckiem?

Smutnym, bo byłem jedynakiem. Obiecałem sobie, że będę miał dużą rodzinę i tak się stało. Mam wspaniałą żonę, troje fantastycznych dzieci i... dziesięcioro uroczych wnucząt.

Pana droga muzyczna ściśle związana jest z Estradą Poznańską i Sceną na Piętrze. Tam Pan zaczynał i tam Pan pracuje do teraz.

Poniekąd tak, ponieważ progi Estrady Poznańskiej, w której jeszcze nie było Sceny na Piętrze, przekroczyłem mając niecałe 18 lat, kiedy wspólnie z Hanną Banaszak zostaliśmy adeptami Studia Sztuki Estradowej. W sali, w której mieści się obchodząca 40 lat Scena na Piętrze, była siedziba kabaretu Tey. My, jako młodzi ludzie marzący o estradowej karierze, bywaliśmy na wszystkich premierach, często też na próbach kabaretu. W salce obok, w której obecnie mieści się bank, odbywały się wszystkie próby zespołów, które przyjeżdżały do Poznania, bądź miały swoje występy w okolicy. Miały tam też miejsce zajęcia Studia Sztuki Estradowej, której szefem wtedy był Zbigniew Górny. On te talenty zbierał i dawał szanse kształcenia, pierwszych nagrań i koncertów. To był rok 1974.

ZAWSZE LUBIŁEM
WYSTĘPOWAĆ
W DUECIE, NIE
LUBIŁEM SOLOWYCH
WYSTĘPÓW

O podjęciu najpierw współpracy, a potem pracy etatowej w Scenie na Piętrze zdecydował... przypadek.

Zaczęło się wszystko od nagłego zastępstwa. Otóż w 1992 r. reżyser Roman Załuski kończył próbę premierowych spektakli „Dwaj” i „Engagement” z Barszczewską, Pritulak, Wardejnem i Kondratem, które to spektakle miały być prezentowane na deskach Sceny na Piętrze, gdy okazało się, że nie wywiązał się ze swojego zadania twórca oprawy muzycznej przedstawienia – Seweryn Krajewski. Przypadkowo wstąpiłem do szefa tej sceny, Romualda Grząślewicza, na kawę. Zrozpaczony reżyser pytał Grząślewicza, czy zna kogoś „melodyjnego”, kto mógłby uratować spektakl, bo jego nadworny i ulubiony kompozytor... nie wyrobił się. Za trzy dni reżyser miał nie tylko gotową muzykę, ale jeszcze piosenkę „A kiedy złe dni” do słów Ryszarda Marka Grońskiego, którą nagrałem w duecie ze wspaniałą Haliną Zimmermann.

A potem były kolejne spektakle i programy.

Każdy program prezentowany w „Scenie na Piętrze” ma oprawę muzyczną. Do większości spektakli skomponowałem muzykę. Do tej pory „oprawiłem” muzycznie kilkanaście sztuk teatralnych, ponad 120 programów teatralno-telewizyjnych pt. „RING z...”, TANDEM, FART, GWIAZDY X MUZY, BENEFISY OPEROWE.

Było też 15 spektakli z moją muzyką: „Dwaj” Ryszarda Marka Grońskiego, „Engagement” Filipa Bajona, „Za rok o tej samej porze” Bernarda Slade, „Kochanka” Grzegorza Skurskiego, „Zgubny nałóg miłości” Anny Strońskiej, „Porwanie” Hanny Kowalewskiej, „Milionerka” Haliny Dobrowolskiej, „Mokre widzenie” Edmunda Pietryka, „Życie z widokiem na Manhattan” Andrzeja Mariana Trzosa, „Będzie tylko lepiej” Jacka Hempla, „Jest jak jest” Maliny Stahre-Godyckiej, a ostatnio „Za lepsze czasy” w reżyserii Macieja Wojtyzki.

To już prawie ćwierć wieku w Scenie na Piętrze.

Na etacie tak. Przez wiele lat zajmowałem się stroną muzyczną Sceny na Piętrze. Warto dodać, że w tym okresie, scena ta była jedyną działającą w ramach Estrady Poznańskiej. To był wtedy przejściowy, bardzo trudny okres. Jak to przeleciało, sam nie wiem. Do emerytury zostały mi niecałe dwa lata.

Ma Pan już plany na ten czas?

Nie. Nie mam żadnego specjalnego hobby. Nie odkładam niczego na później, nie planuję zbyt do przodu. Nie przepadam za sadzeniem i grzebaniem w ziemi, wędkowaniem. Może więc zajmę się... kuchnią.

Kuchnię?

W domu robię codzienne zakupy i bardzo to lubię. Przygotowuję też obiady. Mogę pomagać w domu, byle bym tylko nie musiał myć okien i prasować. Nienawidzę też wszelkiej maści głośnych mikserów, odkurzacza.

Dlaczego nie ma na rynku płyty z kompozycjami i nagraniami Piotra Żurowskiego?

Bo nigdy o to nie zabiegałem, nie miałem tzw. „łokci”.

Mam taką „domową” płytkę, z utworami ze spektakli teatralnych i moimi piosenkami. Przygotowałem ją na prywatny użytek. Przez wiele lat śpiewałem na scenie, głównie w duetach, mam kilkanaście piosenek nagranych studyjnie. Kiedy zbliżały się moje okrągłe urodziny, córki powiedziały mi: tato, żadnego wielkiego majątku po tobie nie otrzymamy, to mógłbyś powyciągać te piosenki z szuflad i zgrać je na płytkę, żebyśmy chociaż to po tobie miały. Rzeczywiście na swoje

urodziny zrobiłem taką płytkę, tylko dla najbliższych. Znalazły się na niej piosenki od mojego debiutu z Hanną Banaszak, czyli pierwsze nagranie z 1975 r. z Orkiestrą Miliana w Katowicach, po ostatnie z Danutą Mizgalską. Są tam nagrania z Andrzejem Ellmannem, z Haliną Zimmermann, umieściłem także utwory, które skomponowałem, ale nie zaśpiewałem. Jest na przykład przebój Lata z Radiem „Wakacyjny mały flirt” do słów Lecha Konopińskiego w wykonaniu Eleni, a nawet piosenki dla dzieci. Mam więc taki koktajl utworów teatralnych i piosenek.

Bardzo wielu wykonawców śpiewało i śpiewa Pana kompozycje.

Tak. Część z tych piosenek pisana była na zamówienie, np. do programu telewizyjnego czy radiowego. Nigdy nie miałem parcia, by nagrywać swoje solowe piosenki. Zawsze lubiłem występować w duecie, nie lubiłem solowych występów. Głupio tak stać samemu na pierwszym planie. Wolę być zawsze krok do tyłu. Od ośmiu lat towarzyszę wokalnie i z gitarą akustyczną Danucie Mizgalskiej w jej recitalach.

Od wielu lat pracuje Pan też jako dźwiękowiec w Scenie na Piętrze.

Tak. Jest to ulubione zajęcie, choć bardzo odpowiedzialne i ogromnie stresujące, bo wszystko musi być idealnie. A artyści potrafią wychodzić na scenę z wyłączonym mikrofonem.

I „użera się” Pan z artystami już tyle lat.

Nie chciałbym robić niczego innego. Mimo że jest to bardzo stresujące, uwielbiam to! Jestem wdzięczny Panu Romualdowi, że mnie tu kiedyś zaprosił. Dzięki temu miałem okazję otrzeć się o największych i współpracować z najwybitniejszymi artystami, reżyserami.

Pamięta Pan swoje największe zaskoczenie ze spotkania z którymś z artystów?

Bardzo sympatycznie i z wielką atencją wspominam spotkanie ze Zbigniewem Zapasiewiczem, który reżyserował u nas „Ławeczkę”. Wszyscy się Go bali, łącznie z Panem Romualdem. Zostałem wtedy wypchnięty jako taki zderzak, bufor. Okazało się, że wielki reżyser, profesor Zapasiewicz, od razu mnie polubił, zaczął mi mówić „na ty”. Jego żona była tym bardzo zdziwiona. Pan Zbigniew ukradkiem popalał papierosy i przychodził do kabiny realizatorskiej, żeby zapalić. W obu



FOT. KRZYSZTOF STYSZYŃSKI

kieszeniach miał mocno miętowe cukierki czy pastylki. Jak mały chłopczyk schodził na dół na scenę i wydawało Mu się, że przez te miętówki, żona nie wyczuwa zapachu papierosów. Okazał się przeuroczym człowiekiem. Jeszcze czymś mnie urzekł. Okazało się, a jest to też moja słabość, że kiedy jechaliśmy ze spektaklem w trasę, śniadł i rozwiązywał krzyżówki – Jolki. Myślałem, że On czyta wyłącznie wielkie dzieła, a też się odstresowywał krzyżówkami.

Która premiera czy spektakl szczególnie zapadły Panu w serce?

Każdy twórca, z każdej dziedziny powie, że ostatni obraz, kompozycja, reżyseria, to jest to najukochańsze dziecko. W każdą pracę wkłada się całe serce. Ja nie potrafię powiedzieć, bo z każdym wiążą się jakieś trudy.

To droga przez mękę, od scenariusza po premierę. Miałem takie zdarzenie, że reżyser odrzucił mi całą muzykę, którą zrobiłem do spektaklu. Zaciśnąłem zęby i musiałem komponować na nowo. Nie sprostalem wtedy jego oczekiwaniom, mimo że kompozycje powstawały z jego podszeptów. A w tym przypadku zdanie reżysera jest najważniejsze.

Do artystów trzeba mieć wiele cierpliwości. Ma Pan w sobie jej pokłady?

Raczej pokorę. Z czasem człowiek, jak ten lew – łagodnieje, zęby wypadają, pojawia się mądrość życiowa i pragmatyzm nabywany przez lata i to one pozwalają wytrwać. Czasem warto odpuścić małe rzeczy, żeby nie robić z nich problemów. Jak walczyć, to tylko o wielkie.

Rodzina musiała się przyzwyczaić do Pana pracy w różnych godzinach i wyjazdów.

Udało mi się nie przenosić spraw zawodowych do domu. Były lata, że zabierałem dzieci do autobusu, kiedy byłem jeszcze wykonawcą estradowym. Dzieci natłukły się ze mną po Polsce. Takie były wtedy realia.

A wnuki nie jeżdżą z Panem w trasę?

Wnuki objawiają wszelakie talenty, ale nie estradowe. Chłopcy mają osiągnięcia sportowe, zdobywają medale nie tylko w Polsce, ale w Europie i to bardzo znaczące. Mam też wnuków, którzy będąc w Poznańskiej Szkole Chóralnej, objechali z sukcesem pół świata. Wnuczki natomiast mają talenty plastyczne i taneczne. ■



posnania
#ALL ABOUT LIFESTYLE

COLOR ON

ZACZNIJ LATO OD ATRAKCJI

DZIEŃ DZIECKA

01.06 SOBOTA

CANDY BAR pełen słodkości oraz WIELKA KOLOROWA
INSTALACJA ARTYSTYCZNA robiona przez dzieci!

BIKE PARADE – NOCNA JAZDA

15.06 SOBOTA

21:30 wspólny start parady!

KONIEC ROKU SZKOLNEGO

19.06 ŚRODA

Słodkie niespodzianki dla dzieci.

FUN BOX

22.06 SOBOTA

Start letniego programu warsztatów
dla dzieci i dorosłych.

SZCZEGÓŁY NA [POSNANIA.EU](https://posnania.eu)



SZORSTKA MIŁOŚĆ STAREGO MARYCHA

Marian Pogasz – aktor lalkowy, teatralny, filmowy, kabaretowy i radiowy. W Poznaniu najbardziej znany i pamiętany jako odtwórca roli Starego Marycha – bohatera audycji radiowej, mieszkańca Łazarza (dla niewtajemniczonych: to część dzielnicy Grunwald), posługującego się gwarą poznańską. Jego twarz ma pomnik przedstawiający tę postać, którą swoim głosem ożywiał przez 17 lat. – Lubiłam być z Tatą, ale nie cierpiałam wchodzenia w krzaki, bałam się i brzydziłam pajaków i pajęczyn, które mnie oplatały. Tato tego nie rozumiał. Co znamienne – przy całej swojej twardości, pewnej szorstkości, potrafił zachwycać się zapachem lasu, szumem drzew, każdą rośliną. To było takie kontrastowe do tego, jak trudno przychodziło Mu okazywanie uczuć. Bo co do tego, że nas kochał, nie miałam żadnych wątpliwości – wspomina Go Jęgo córka – **Emilia**.

TEKST I ZDJĘCIA: EWA MALARSKA

Kochałaś swojego Tatę?

Emilia: Oczywiście, co za pytanie? Przecież był moim ojcem, jasne, że kochałam. Nadal Go kocham, mimo że od lat nie ma Go z nami.

A lubiłaś Go?

O, tu już odpowiedź nie może być taka prosta. Czasem tak, czasem nie. Nie był łatwym we współżyciu człowiekiem. Miał swoje zasady, których przestrzegania i podporządkowania się im wymagał od wszystkich wokół.

Jakie jest Twoje pierwsze skojarzenie, gdy o Nim pomyślisz?

Tato chorował na kamicy nerkowej, która ostatecznie doprowadziła do zatrzymania pracy nerek. Jego choroba zdominowała nasze życie. Ponad 16 lat poddawał się hemodializom (3 razy w tygodniu szpital i 5-godzinne filtrowanie krwi), a Mama biegała zatroskana wokół Jego łóżka i spraw szpitalnych. Jednocześnie i pomimo tego, oboje pracowali. Próby do nowych spektakli przed i po południu, a przedstawienia programowe wieczorem. Nie odpuszczali. Ani Mama, ani Tato.

Twoja Mama też była aktorką.

Tak, była aktorką-lalkarzem. Nazywała się Krystyna Cysewska – „Cyśka”. Rodzice poznali się w Teatrze Lalki i Aktora Marcinek, jakieś 2-3 lata przed ślubem. Pobrali się latem 1956 roku. Mama opowiadała, że Tato nie spodobał się Dziadkom. Nie było w tym nic dziwnego – Babcia Emilia i Dziadek Alojzy prowadzili dom z polskimi tradycjami, przestrzegali etykiety. A tu taki chudy blondyn, ubrany w czarny, obcisły golf, równie wąskie spodnie, z włosami zaczesanymi do tyłu na brylantynę, pełen buty, przyjechał prosić o rękę ich córki. Witając się, nie ucałował Babci w rękę, tylko pochylając się nad Jej dłonią, cmoknął własny palec. Tak z Niego był gagatek. Sam, nie poddając się tradycji, prezentując buntowniczą postawę, czuł się mocniejszy.

Kontrasty przyciągnęły ich do siebie?

Chyba tak. Mama była skromną, ciepłą, empatyczną osobą. Zawsze godziła rodzinę – pudrowała niesnaski, organizowała uroczystości – imieniny, urodziny, Gwiazdkę, Wielkanoc. Zapraszała i hołubiła gości. Tato nie miał swojej rodziny. Od wczesnego dzieciństwa był sam na świecie, bez prawdziwych krewnych. Lubił spotkania rodzinne, miał przed kim „pogwiazdorzyć”. A nie był łatwym kompanem. Ciągłe krytyczny, wymagający, wskazujący pal-

cem co i jak zrobić. A przy tym potrafił zachowywać się jak rozkapryszony dzieciak.

W domu też mówiliście gwarą?

Ależ skąd! Stary Marych to była rola do zagrania. Bardzo ważna, ale jednak kreacja aktorska. W codziennym życiu Tato bardzo pilnował, abyśmy wypowiadali się i pisali czystą polszczyzną. Nie tolerował błędów stylistycznych, logicznych i ortograficznych. Kiedyś, chcąc nauczyć swoją wnuczkę – córkę mojego starszego brata – poprawnego pisania, po znalezieniu „byka” w Jej liście z wakacji, napisał w odpowiedzi list pełen błędów. Miała to być lekcja szacunku dla słowa, dla języka i dla adresata korespondencji.

Lekcja była skuteczna?

O, tak. Tak samo jak ciągłe zwracanie uwagi na sposób wypowiadania się. Nie było mowy o niewyraźnym mówieniu, polykaniu końcówek wyrazów czy innym sposobie kaleczenia polskiej mowy. Wymagał poprawnych, wyraźnych wypowiedzi, bardzo ważne były dla Niego dykcja i odpowiednie akcentowanie wyrazów.

UWAŻAŁ, ŻE ZIMNY
CHÓW, WYMAGANIA,
KRYTYKA I BRAK
POCHWAŁ TO KLUCZ
DO SUKCESU

W zasadzie nie były to jakieś nadzwyczajne wymagania, a mówisz o nich jednak z pewnym smutkiem.

Tak, bo sposób, w jaki Tato egzekwował dostosowanie się do nich, nie należał do najprzyjemniejszych. Przez dwa lata celowo przekręcał nazwisko kandydata do mojej ręki – mój przyszły mąż Radek był spokojny, introwertyczny i nie mówił wyraźnie. Za każdym razem, gdy dzwonił i prosił mnie do telefonu, Tato informował mnie, że znowu dzwoni TEN... tu następowało zmyślane, w brzmieniu podobne, nazwisko. Nie było to miłe (zwłaszcza, że robił to donośnym, teatralnym głosem) i bardzo mnie denerwowało. Sprawiało wrażenie, że za każdym razem dzwoni ktoś inny.

Albo taki przykład: mając 26 (!) lat wybrałam się z (już) narzeczoną do kina Bałtyk, na film Martina Scorsese „Kasyno”. Bardzo trudno było zdobyć na niego bilety, trzeba było stać w długiej kolejce. Seans zaczynał się o 20:00, film trwał prawie 3 godziny, a Tato stosował zasadę, że drzwi do domu Pogaszów otwarte są do 23:00. Mieszkaliśmy na Winogradach, więc, aby zdążyć, musiałam wyjść z kina o 22:30, nie czekając na zakończenie filmu.

Nie miałaś kluczy?

Miałam, ale Tato zostawiał swoje w zamku i aby wejść, musiałam Go obudzić (tak twierdził, chociaż wiem, że

nie spał) i wysłuchać wykładu o odpowiedzialności i szacunku. Wołałam tego uniknąć. Nie słuchał żadnych tłumaczeń, nie uznawał wymówek. A robił to, oczywiście, dla mojego dobra.

Wiesz, wygląda to, jakby demonstrował ojcowską zazdrość. Byłaś córeczką tatusia? Jego ulubienicą?

Tak, wiedziałam, że jestem dla Taty najważniejsza, najmądrzejsza i nikt nie jest mnie godzien (uśmiech), jednak bolało mnie takie podejście. Tak samo jak to, że rzadko mnie chwalił. Wymagał bardzo wiele, ale nie mogłam liczyć na okazanie zadowolenia z moich starań. Tato uważał, że zimny chów, wymagania, krytyka i brak pochwał to klucz do sukcesu. Nie tolerował żadnej słabości. Myślę, a w zasadzie jestem pewna, że wynikało to z wychowania, jakie otrzymał.

Opowiadał o swoim dzieciństwie?

Nie było łatwe. Bardzo wcześnie stracił mamę. Babcia umarła, gdy miał zaledwie 6 lat. Była gospodynią u państwa Bodniaków. Doktor, a po wojnie profesor Bodniak był kustoszem w kórnickim zamku. Tato nie miał ojca i Jego wychowaniem zajęła się wiejska nauczycielka – Maria Kurtzmann. Tato nazywał ją ciotką. Ojciec pani Marii był Niemcem, jednak dzieci wychowywał w polskiej tradycji. Pani Maria mieszkała w szkole we wsi Bruczków. Gdy wybuchła wojna, przeniosła się z moim Tatą do najbardziej bezpiecznej chałupy we wsi – uznawała, że tak będzie bezpiecznie. Później, ponieważ była wykształcona i знаła doskonale niemiecki, zaczęła pracować we dworze, w którym stacjonowali Niemcy. Po pewnym czasie pozwolili Jej sprowadzić do siebie wychowanka. Nie do końca było to bezpieczne, bo Tato prezentował tak zwany nordycki typ urody – był przezroczyście, piegawym blondynem z jasnymi, niebieskimi oczami.

I pewnie chcieli Go zniemczyć?

Oczywiście, jednak pani Kurtzmann udało się ocalić Go od tego. Tato opowiadał, że „wykupiła” Go za fortepian, który jeszcze przed wojną przywiozła z Niemiec. Jakiś gestapowiec potrzebował go na prezent dla córki. Pani Maria zgodziła się oddać instrument w zamian za zaświadczenie pozwalające chłopcu zostać. Tym sposobem Tato uniknął wywiezienia do Niemiec. Pani Maria uczyła Tatę po polsku, ale i niemiecki opanował biegle – czytał książki w oryginale.



A co skłoniło Go do zostania aktorem?

Opowiadał, że po śmierci Babci, jeszcze mieszkając w Kórniku, bawił się w teatr. Pani Maria dbała o to, aby nie był sam, zapraszała okoliczne dzieci w podobnym wieku. Wymyślili, że odprawia Boże Ciało. Tato zrobił sobie ornat, z apteczki tabernakulum, dzieci z piasku porobiły ołtarzyki i odprawiali procesję. Ciotka zabroniła tej zabawy dopiero, gdy Tato zaczął „spowiadać”.

Po wojnie zamieszkali w Bogdańcu, a do liceum chodził Tato w Gorzowie i tam zobaczył pierwszy prawdziwy teatr. Od razu wiedział, że chce być aktorem. I został nim wbrew wszelkim trudnościom i przeszkodom. Skończył eksternistycznie szkołę aktorską. Na początku był lalkarzem.

Przyjechał do Poznania, znalazł pracę w „Marcinku”, poznał Mamę i tak zaczęła się historia naszej rodziny.

Jak spędzaliście wolny czas?

Tato uwielbiał chodzić po lesie, lubił zbierać jagody, borówki, maliny, grzyby. Ja tego nie znosiłam. Nie to, że wszystkiego. Lubiałam być z Tatą, ale nie cierpiałam wchodzenia w krzaki, bałam się i brzydziłam pajaków i pajęczyn, które mnie oplatały. Tato tego nie rozumiał. Co znamienne – przy całej swojej twardości, pewnej szorstkości, potrafił zachwycać się zapachem lasu, szumem drzew, każdą rośliną. To było takie kontrastowe do tego, jak trudno przychodziło Mu okazywanie uczuć. Bo co do tego, że nas kochał, nie miałam żadnych wątpliwości.

Mieliście jakieś przygody, które zapadły Ci w pamięć?

Szliśmy kiedyś przez wieś. Mijając pole z ziemniakami, zauważyliśmy psa przywiązanego do takiego łańcucha podczepionego do drutu przeciągniętego nad polem, aby mógł go pilnować. Tylko, że tam było drzewo, wokół którego pies okręcił się i zaplątał. Siedział tam i wył. Tato postanowił go uwolnić. Gdy tylko go odczepił, pies rzucił się na Tatę. My z Mamą w krzyk, Tata w nogi, ale po tych ziemniakach nie było łatwo, przewrócić się. Zwierzak dopadł do Niego i ugryzł. W okolice nerki. Straszne to było. Pełno krwi i ziemi. Tę pogryzioną koszulę, którą Tato miał na sobie wtedy, mieliśmy jeszcze długo w domu. A Tato przez dłuższy czas nie mógł spać w łóżku. Spał w pontonie, bo w ten sposób miał plecy w powietrzu. Ale był zadowolony, bo uratował psa. ■



ZDJĘCIA: PIOTR KARPIŃSKI

Z inicjatywy Regionalnych Oddziałów Krajowej Izby Doradców Podatkowych: Wielkopolskiego, Lubuskiego, Mazowieckiego, Śląskiego oraz Zachodniopomorskiego odbyło się Forum Podatkowe Poznań 2019 „Podatki przyszłości”. Było to pierwsze wydarzenie tego typu w Polsce. W wydarzeniu oprócz doradców podatkowych, księgowych, biegłych rewidentów uczestniczyli między innymi przedstawiciele Ministerstwa Finansów, Urzędu Miasta Poznania, Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców, Wielkopolskiej Rady Trzydziestu, Rady Naukowej przy Krajowej Izbie Doradców Podatkowych oraz Krajowej Rady Doradców Podatkowych. W Forum Podatkowym brali udział również sędziowie, reprezentanci świata nauki, a także przedsiębiorcy. ■



BYĆ JAK NASA

ZDJĘCIA: EMILIA STASZKÓW

Kobiety przedsiębiorcze, bizneswomen i liderki spotkały się na Młyńskiej 12 na prelekcji „Bądź jak NASA! Czyli jak NASA podbiło kosmos zarządzając stresem”. W roli prowadzących wystąpiły: Lucyna Ławniczak - konsultant TOC, trener, coach ICC, psycholog, menedżer sprzedaży oraz Agnieszka Woś-Szymanowska - konsultant biznesowy, psycholog, certyfikowany trener i coach Process Communication Model. ■

Jeśli chcesz dołączyć do KKP
wejdź na stronę:
<http://www.klubkp.pl/>



LEPIEJ W KASKU

ZDJĘCIA: VOLVO FIRMA KARLIK

Za nami kolejny rajd rowerowy #volvokarlikteam. Kilkanaście osób podróżowało nad poznańską Maltą i trasą Wartostrady promując i wspierając ogólnopolską akcję „Lepiej w kasku”. Akcja cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W ostatnim czasie do inicjatywy przyłączyli się Łukasz Kubot i Czesław Lang. Wśród sław promujących jazdę w kasku znaleźli się też m.in. Grażyna Wolszczak, Leszek Lichota, Anna Dereszowska, Joanna Popławska, Ewa Gawryluk, Tomek Jaroński czy Kasia Bujakiewicz. Ze względu na formę przedsięwzięcia, wszyscy w naturalny sposób pokazują światu, że bezpieczna jazda ma dla nich znaczenie i wrzucają selfie w kasku z #lepiejwkasku na swoje media społecznościowe. Organizatorem akcji jest portal Multibike.pl, natomiast za obsługę i kreację odpowiada agencja Good People. ■

Aby śledzić i dołączyć do akcji zapraszamy na:
www.facebook.com/lepiejwkasku
www.instagram.com/lepiejwkasku/





KONWENT ROZWOJU

ZDJĘCIA: EMILIA STASZKÓW

Jak być w dwóch miejscach na raz? Jak się wyróżnić? Jak uniknąć nawykowego obezwładnienia? Na te i wiele innych pytań odpowiadali uczestnicy i prelegenci kolejnej edycji Konwentu Rozwoju, który odbył się na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Czekamy na kolejną edycję. ■



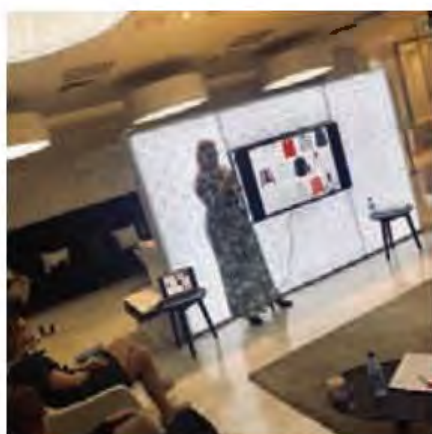
MAJ SMAKUJĄCY BAŁKANAMI

ZDJĘCIA: JAKUB PINDYCH

Poznańscy Kucharze Razem przygotowali bardzo ciekawą kolację degustacyjną wsparci przez Arjana Cekę z Albanii i Urosa Urosevica z Serbii. Sięgnęli po bałkańskie smaki. To polityczno-dyplomatyczne wydarzenie wzbogacone zostało kulinarnie kolacją w Nifty No. 20.

Gospodarzem wieczoru był Sergiusz Hieronimczak założyciel Poznańskich Kucharzy Razem i szef kuchni Nifty No. 20, a obecni byli prezydenci miasta Jacek Jaśkowiak i Jędrzej Solarski, a także sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Szymon Szykowski vel Sęk oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego z państw bałkańskich. Dzień później kucharze z Albanii i Serbii przeprowadzili szkolenie dla poznańskich szefów kuchni. ■





WARSZTATY ZE STYLISTKĄ

ZDJĘCIA: JOANNA MAŁECKA

Basia Józefiak spotkała się z kobietami w Poznaniu by pomóc im skompletować strój idealny. Podpowiadała też jak się ubrać, żeby zatuszować mankamenty sylwetki i jakie kolory dobrać do typu urody. Było niezwykle inspirująco. ■



WYBOROWE BIESIADOWANIE

ZDJĘCIA: JULIUSZ PODOLSKI, MATERIAŁY PRASOWE

Ponad 250 osób wzięło udział w Mocy spotkań w Poznaniu – pierwszym wydarzeniu, które odbyło się w ramach ogólnopolskiego cyklu spotkań edukacyjnych promujących tradycyjną polską gościnność w nowoczesnym wydaniu. W Słodowni Starego Browaru do wspólnego stołu i rozmów zaprosili gospodarze: pasjonat smaku Pascal Brodnicki oraz ambasador naszego narodowego trunku Maciej Starosolski. Obaj niezwykle barwnie opowiadali o magii stołu, a także dzielili się wiedzą i doświadczeniem na temat sztuki degustacji polskich specjałów. ■





VINYL ELLA CAFE

Mamy nowe miejsce na mapie Poznania – niezwykle kameralną i smaczną kawiarnię Vinyl Ella Cafe, przy ulicy Wielkiej 19. Można tu skosztować wyśmienitych ciast i zjeść pożywne śniadanie, a nawet lunch w towarzystwie prawdziwej, świeżo zmielonej kawy.

ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT

To miejsce powstało z pasji i z marzeń właściciela – Romana Maciejewskiego. Od lat uwielbia muzykę puszczaną z płyt winylowych, której zresztą można posłuchać w Vinyl Ella Cafe. Dodatkowo, co jakiś czas za klawiszami pianina zasiada menadżerka lokalu, a za mikrofonem stają poznańscy artyści. Muzykę na żywo dopełniają wyśmienite przekąski – te słodkie i słone i ogromny wybór napojów. To miejsce dla każdego, które serdecznie polecamy. ■





LIDER JEST TYLKO JEDEN

ZDJĘCIA: SŁAWOMIR BRANDT

Znamy Poznańskich Liderów Przedsiębiorczości!
W kategorii Średni Przedsiębiorca – Modertrans Poznań Sp. z o.o.,
Mały Przedsiębiorca – MW Concept Sp. z o.o., Mikroprzedsiębiorca – Akademia
Słońca Krzysztof Frąszczak, Startup – Travel Manager Sp. z o.o. (Hotailors).

Gratulujemy!



DROGA DO CELU

ZDJĘCIA: GRZEGORZ CZAJKA – FOTOGRAFIA

Ponad 220 kobiet wzięło udział w naszym spotkaniu „Kobieta w roli głównej” organizowanym w ramach Poznań Biznes Partner. Można było posłuchać dr Magdaleny Bartczak, która mówiła o wartości i design thinking, a Edyta Jagodzińska-Pawłuk opowiadała o różnych drogach do osiągania celów. Partnerzy: Goplana BNP Paribas Bank Polska Gehwol FREYWILLE Chic Optique Salon Optyczny Depicenter CANDEO Clinic Poznań Miasto Poznań. Organizacja: Anna Berdowska Anna Szajerska&Kobieta w roli głównej TEAM. ■





Przemarsz władz i senatów UAM, UMP, UPP, AWF. Rektorzy czterech świętujących uczelni z kluczami od Prezydenta Jacka Jaśkowiaka. Od lewej stoją: rektor AWF, prof. Dariusz Wieliński, rektor UPP, prof. Jan Pikul, prezydent Jacek Jaśkowiak, rektor UMP, prof. Andrzej Tykarski, rektor UAM, prof. Andrzej Lesicki.



Uczestnicy przemarszu przed Aulą UAM.



Koncert Andrei Bocellego. Na scenie 120 osobowy międzynarodowy chór składający się z uczestników „Universitas Cantat” oraz poszerzona Orkiestra Teatru Muzycznego w Poznaniu pod dykcją Carlo Berniniego.



Przemarsz władz i senatów UAM, UMP, UPP, AWF. Przekazanie klucza do miasta rektorowi UAM prof. Andrzejowi Lesickiemu przez Prezydenta Jacka Jaśkowiaka.



UNIWERSYTET POZNAŃSKI 1919-2019
UAM UMP UPP AWF

UNIwersytet MA 100 LAT



Gala sportu. Rektor AWF, prof. Dariusz Wieliński, oraz prorektorzy: UAM, prof. Tadeusz Wallas i AWF, prof. Jan Celichowski ze zwycięzcami Półmaratonu 100-lecia Uniwersytetu Poznańskiego.



Dzień sportu.
Konkurencja retro:
przeciąganie liny.



Dzień sportu. Rozgrzewka przez rozgrywkami w stylu retro.

Chrzest tulipana „Uniwersytet Poznański”. To karminowy tulipan grupy triumph wyhodowany przez holenderskiego hodowcę Jana Ligharta. Rodzicami chrzestnymi zostali rektorzy czterech uczelni świętujących stulecie Uniwersytetu Poznańskiego.



FOT. ADRIAN WYKROTA UAM



DOBRY DESIGN ZACZYNA SIĘ TUTAJ

W Galerii Polskie Meble odbyło się oficjalne otwarcie nowych salonów: JETA, IPProfessional, Kuchnie Kuhlmann, Inmondo, Galerii Malarstwa Szymona Kaczmarka, a także marek: Bizzarto, Italmeble, IWC HOME w nowej odsłonie. Tego dnia została również oficjalnie otwarta „Strefa Designu” – nietuzinkowe miejsce, gdzie ponad 30 marek z całej Polski zaprezentowało swój asortyment.

ZDJĘCIA: **BARTOSZ PUSSAK PHOTOGRAPHY**



Piękne, ręcznie robione meble z litego drewna, wysokiej jakości podłogi, inteligentne rozwiązania do domu, zachwycające meble tapicerowane – tak w skrócie można opisać portfolio produktów, które prezentowane są w wyjątkowych przestrzeniach Strefy Designu. Można tu znaleźć takie marki jak: Smreki, Another Design, Directfloor, Motiv home, Deimic, Mayart, Dekoria, BWA studio, Śliwowski home, Lofware, Mjukuinuuki, Livingroom, Ziemann, Kasia Rycerska, Tomasz Jędrzejewski, Bożena Plota BP styl,

RONDO, Stołarnia Da Vinci, Mjukuinuuki, Pracownia Drewna, DS Art, NK Modern Design.

Podczas wydarzenia zaproszeni Goście mogli zapoznać się z bogatą ofertą salonów meblowych znajdujących się w Galerii Polskie Meble. Galeria Polskie Meble czynna jest od poniedziałku do soboty w godzinach od 10 do 20. W niedzielę od 10 do 18.

Zapraszamy Aleje Solidarności 34 Poznań.

Partnerem wydarzenia była VOLVO Firma Karlik. ■

dbl  **service**
Wynajem Odzieży i Mat



future
COLLECTION

Myśląc o przyszłości,
czerpiemy z doświadczenia

www.dbl.com.pl

RANGE ROVER VELAR

AWANGARDOWY SUV W OFERCIE PREMIUM LEASE



ABOVE & BEYOND



**RANGE ROVER VELAR WYZNACZA NOWY
STANDARD W ZAKRESIE INNOWACJI
I AWANGARDOWEGO WZORNICTWA.**

**W ABONAMENCIE PREMIUM LEASE
OD 1.391 ZŁ NETTO/M-C**

Nowoczesną sylwetkę samochodu podkreślają reflektory Matrix-Laser LED czy wysuwane automatycznie klamki drzwi. Wnętrze wykonane z materiałów najwyższej jakości wzbogacone zostało o system multimedialny Touch Pro Duo składający się z dwóch 10-calowych ekranów dotykowych HD.

Wyjątkową linię nadwozia Range Rovera Velar uzupełniają dynamiczne jednostki napędowe, w tym m.in. 2-litrowe silniki benzynowe oraz 300-konny Diesel V6.

Karlik – Autoryzowany Dealer Land Rover
ul. Poznańska 30, 62-081 Baranowo k. Poznań
tel. +48 61 652 50 60
facebook.com/JaguarLandRoverKarlik
Instagram: jaguarlandrover_karlik
www.karlik.landrover.pl



Oferta wynajmu długoterminowego dla przedsiębiorców, okres finansowania 24 miesiące z limitem 20.000 km/rocznie z opłatą wstępną 10%; cena modelu Range Rover Velar 2.0L TD4 180KM Auto AWD w cenie 239 900 PLN brutto. Powyższe ma charakter informacyjny i nie stanowi oświadczenia gwarancyjnego ani oferty handlowej w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego.